

II

Rekonstrukcje

Po nitce do... gniazda

Wszystko zaczęło się od namów mej siostry Ireny. Na szczęście dzieli nas kilka godzin podróży koleją między Poznaniem a Olsztynem i stosunkowo łatwo przychodziło mi zbywać jej od lat trwające sugestie, że powinniśmy dowiedzieć się czegoś bliższego o naszej rodzinie. Ileż racji miałem argumentując: „Daj spokój, to może wciągnąć”. Od szczegółu do szczegółu można zajść w gąszcz, zdolny pochłonąć całe życie. Nie miałem czasu na to, w każdym razie nie miałem go wtedy, gdy mnie namawiała Irena.

Sprawdziły się te moje obawy co do joty.

Prawdę mówiąc nigdy nie utrzymywałem bliższych kontaktów z krewnymi, choć zawsze brakowało mi domu. Zresztą tkwiły te tendencje w nas wszystkich, także w moim bracie Stefanie i trzech siostrach: Longinie, Janinie i Irenie. Z tym domem to też było, prawdę mówiąc, dwojako — wszyscyśmy go potrzebowali, ale przedwcześnie go opuszczali, bo nie realizował naszych potrzeb emocjonalnych. Nic dziwnego, że w tym klimacie nie wiedziało się o dziadkach prawie nic, a o dalszych przodkach zupełnie nic.

Ukształtował się we mnie w ciągu życia swoisty sposób odnoszenia się do związków międzyludzkich. Zaw-

sze przedkładałem przyjaźń nad inne więzi społeczne, także nad więzi pokrewieństwa. Pokrewieństwo ducha — oto, co mi odpowiadało już od dzieciństwa, od czasów, gdyśmy z chłopakami z podwórza wyprawiali się na podpoznańskie łąki i pola, by tam palić ogniska, puszczać latawce, zbierać kłosa lub kwiaty, kurzyć papierosy, robić wiele innych rzeczy, organizować zabawy za pomocą szmacianych piłek, własnoręcznie struganych klip i tak dalej.

Aż wreszcie któregoś lata napisałem do Ireny, że jestem gotów stanąć u jej boku do rodzinnego zwiadu.

Było upalne lato i zrezygnowałem z wcześniejszego projektu włości po Rumunii. Zamiast podróży w przestrzeni zdecydowałem się na podróż w czasie, która oczywiście nie mogła obejść się bez małych wycieczek po Wielkopolsce. Czułem w dodatku zmęczenie, podczas urlopu nie pozwalające na zajęcie się jakąś pracą przy domowym biurku.

Krewnych — jak się rzekło — prawie nie znałem. Irena, jako starsza ode mnie o siedem lat, znała ich więcej. Dorastała, gdy nasz dom rodzinny stanowił jeszcze komórkę bardziej zwartą niż później, za czasów mego dzieciństwa. Lecz obok tropów trafnych wniosła do naszej wyprawy nieco legendy. O ile więc słuszne były domysły o szlacheckim pochodzeniu Turkowskich (co wydawało się istotne jako ułatwienie w poszukiwaniach genealogicznych), o tyle legendą okazała się wersja o ich przyjeździe do Wielkopolski ze wschodniej części Polski w związku z prześladowaniami Polaków po powstaniu styczniowym, czy też może listopadowym.

Podobnych fałszywych tropów było więcej i nic dziwnego. Lecz właściwie w błyskawicznym tempie, bo już czwartego dnia, weszliśmy na słuszną drogę i trafiliśmy do samego gniazda naszych antenatów.

Nie zapomnę chwili, gdyśmy z pierwszymi metryka-

mi w kieszeni opuścili plebanię w Przemęcie, przemaszerowali kilometr do wsi Przedmieście i drugi do Błotnicy. Nie trafiwszy na autobus przebyliśmy następne cztery kilometry na sam skraj Radomierza, pozostawiając za kanałem poboczną drogę do Starkowa. Jakżeż uroczyście i wzniośle przenikała mnie świadomość tego, że oto idę do gniazda moich przodków tą właśnie drogą, którą oni najczęściej chodzili. Nie interesowało mnie wtedy nic więcej.

Wpierw jednak były: Mosina, Krerowo i Wijewo oraz jedna rozmowa w Poznaniu.

Do domku w Mosinie — małym miasteczku, położonym dwadzieścia kilometrów na południe od Poznania — przeniósł się w latach dwudziestych po pięćdziesięcioletniej pracy nauczycielskiej w Wijewie brat naszego dziadka Stanisław Turkowski (zbieżność imion wynika z sentymentu rodowego do pewnych imion). Ożeniony z Michaliną Ćwiklińską, która zmarła w roku 1944, przeżywszy dziewięćdziesiąt dziewięć lat, miał tylko jedną córeczkę, pochowaną bardzo wcześnie. Wychował za to przygarniętego w Wijewie chłopca Józefa Pawłowczaka, którego wykształcił też na nauczyciela, późniejszego specjalistę w poznańskiej szkole dla głuchoniemych. Zaadoptował także dziewczynkę, która później jako Helena Lewicka-Turkowska została pianistką. Według Ireny mąż Heleny, która zginęła w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, miał żyć jeszcze w domku po Stanisławie Turkowskim.

Istotnie, odnaleźliśmy go, przewędrowawszy uprzednio cmentarz, biuro parafialne i ulice miasteczka. Wdowiec mieszkał rzeczywiście w tym samym domku parterowym już z drugą żoną i córką. Przy kawie zasięgnęliśmy języka. Otrzymaliśmy adres emerytowanego nauczyciela głuchoniemych i przejrzeliliśmy kilka teczek, z których zachłannie wydobyłem (celem sporzą-

dzenia fotokopii) stuletnie świadectwo maturalne Stanisława Turkowskiego i jego dyplom z kwalifikacyjnego egzaminu nauczycielskiego oraz parę innych dokumentów i fotografii. To wszystko zresztą Zygmunt Urbanowski (takie jest bowiem nazwisko właściciela domku) darował mi później w zamian za fotokopie i parę moich książek z dedykacjami autorskimi.

Już wcześniej uderzyło nas w dokumentach miejsce urodzenia brata naszego dziadka, Radomierz, który zlokalizowaliśmy sobie na mapie niedaleko tego samego Wijewa, gdzie nauczyciel pracował. Gdyśmy po południu wrócili do Poznania, odnaleziony przy ulicy Wyspiańskiego Józef Pawłowczak zapewnił nas, że właśnie w Radomierzu żyła rodzina jego przybranego ojca. A następnego dnia w Krerowie, buszując wokół grobu tamtejszego proboszcza księdza Piotra Turkowskiego, wyczytaliśmy w metrykalnym zapisie jego śmierci również Radomierz jako miejsce urodzenia. Zresztą ksiądz ten, uchodzący w pielęgnowanej przez Irenę tradycji rodzinnej również za brata naszego dziadka, okazał się później jego kuzynem.

Krerowo znane było nie tylko Irenie. W latach 1947—1950 byłem kierownikiem szkoły w odległych o kilka kilometrów Pławcach. Wtedy podczas rowerowych wypraw w okolicy wstąpiłem raz i drugi na cmentarz obok krerowskiego kościółka, przypomniawszy sobie nazwę wsi z lat chłopięcych. Łatwo odnalazłem grobowiec zmarłego w 1915 roku proboszcza, o którym wiedziałem bardzo mało, a właściwie tylko tyle, że był krewnym. Podczas jednego z pobytów miałem akurat przy sobie aparat fotograficzny i zrobiłem zdjęcie grobowca.

Teraz przypomniałem sobie jakąś rodzinną opowieść o tym, jak to jechano z Poznania na pogrzeb księdza i drugą, jak ktoś spodziewał się spadku po nim i zawiódł się srogo.



Przemęt — rynek

Chodząc po Krerowie z Ireną słuchaliśmy wspomnień najstarszych parafian o księdzu Turkowskim. Sfotografowałem jeszcze raz grób, a prócz niego kościół i plebanię, zbudowaną przez naszego krewnego. Na tejże plebanii od aktualnego proboszcza otrzymałem wypis aktu śmierci. Podawał on także datę i miejsce urodzenia oraz informację o rodzicach proboszcza i jego bracie Józefie, który z nim mieszkał, a po ich śmierci zgłosił ich dane do aktu zgonu.

Pojechaliśmy wreszcie z Ireną do Wijewa, by tam odnaleźć dalsze nici, prowadzące do kłębka.

Moje przeżycia były mdłe w porównaniu z wrażeniami Ireny, która przed wielu laty jako dziewczynka odwiedziła Wijewo razem z naszym ojcem. Z rozczuleniem szukała dawnych obrazów. Najpożyteczniejsza jednak okazała się nasza rozmowa z aktualnym dyrek-

torem szkoły Józefem Wojciechem i jego ojcem Pawłem Wojciechem. Ten ostatni był uczniem naszego krewnego nauczyciela i zachował bardzo piękną pamięć zarówno o nim, jak o jego małżonce, która po lekcjach uczyła dzieci robótek. Sfotografowałem jeszcze szkołę — warsztat pracy i miejsce wielu lat życia człowieka, którego dyplom nauczycielski miałem już w swych dopiero co zapoczątkowanych zbiorach. Nic więcej nie było tu jednak do załatwienia. Ustaliliśmy, że kościół parafialny dla Radomierza znajduje się w Przemęcie, udaliśmy się tam następnego dnia rano. Znaleźliśmy się tam, gdzie powinniśmy trafić przede wszystkim.

Przemęt leży w dawnym powiecie wolsztyńskim, w obecnym województwie leszczyńskim. W okresie międzywojennym było to pogranicze Polski. Uroczę, filigranowe miasteczko żyje obecnie na prawach wsi, choć niegdyś było miastem kasztelańskim, stolicą ziemi przemęckiej. Doznało tak daleko idącego regresu administracyjnego, że nawet siedziba gminy przemęckiej mieści się we wsi Przedmieście, która przed wiekami stanowiła suburbium Przemętu, zgodnie zresztą z dotychczasową nazwą.

Mam w domu wydaną w Utrechcie w roku 1692 geografię Jana Luytsa pod tytułem „Introductio ad geographiam”, zawierającą również rozdział „Polonia”. W niej Przemęt figuruje jako miasto powiatowe, siedziba kasztelanii na równi z Poznaniem, Kaliszem, Bydgoszczą i innymi dziś wielkimi miastami. Do tej roli doszedł już na przełomie XIII i XIV wieku. Degradacja nastąpiła w ciągu ostatnich dwóch wieków.

Uroczę, czystutki rynek z pompą studzienną, okolony parterowymi domkami, nieforemny, przechodzi w placyk, za którym dalej ciągnie się stary cmen-

tarz. Trzeba przejść około dwustu metrów asfaltową ulicą-szosa, by stanąć w alejce, prowadzącej do okazałego kościoła barokowego. Wysoko ponad bazyliką wznoszą się dwie wieże, z których jedna uwieńczona jest ażurowym hełmem z miedzianej blachy.

Był Przemęt miastem już w roku 1140. W roku 1210 Władysław Odonicz przekazał część Ziemi Przemęckiej opatowi porteńskiemu Winemarowi celem założenia klasztoru i to przesądziło o losach całej okolicy na długie wieki. Przesądziło też o losach rodu Turkowskich. Co prawda klasztor cystersów powstał dopiero w roku 1278 i to nie w Przemęcie, a w niedalekim Wieleniu, lecz po dalszych stu trzydziestu latach przeniesiono go do Przemętu.

Tak zdołałem uchwycić najdawniejsze koleje moich przodków. W tych czasach, to znaczy w połowie XVIII wieku, byli cystersi właścicielami ogromnych dóbr okolicznych. Do opatów należały wtedy: Błotnica, Brzeziń, Frydrychowo, Kaszczor, Łupica, Mochy, Przemęt, Przedmieście, Przysieka, a do klasztoru: Bukowiec, Kluczewo, Boszkowo, Ciosaniec, Droniki, Górsko, Nowa Nędza, Nowa Wieś, Olejnica, Osłonin, Poładowo, Radomierz, Szreniawa, Starkowo, Targowica, Zaborów. Rząd pruski, znosząc po rozbiorach klasztory, część dóbr sprzedał w niemieckie ręce, z reszty zaś utworzył dominium państwowe z siedzibą w Kaszczorze czyli dawniej w Starym Klasztorze (i dlatego po niemiecku zwanym Altkloster).

W okolicy znajduje się ciąg pięknych jezior przemęckich: Przemęckie I, Błotnickie, Przemęckie II, Radomierskie, Olejnickie, Górskie, Osłonińskie, Wieleńskie, Trzytoniowe. Opodal Wieleńskiego leży wspomniane wyżej Wijewo. Z Radomierskiego wylania się Wyspa Konwaliowa — rezerwat przyrody. W Olejnicy znalazły miejsce ośrodki wypoczynkowe.

Gospodarz obszernej parafii przemęckiej ksiądz dziekan Kazimierz Urbanowski okazał się miłym i uczynnym człowiekiem. Wpierw dużo pytał i sam zaglądał do ksiąg, by zaspokoić naszą ciekawość, potem już podawał mi kolejne księgi, wreszcie poszedł sobie, zostawiając nam materiały archiwalne wraz z całą parafialną kancelarią oraz przylegającym do niej pokojem prywatnym i tylko raz po raz zaglądał z zapytaniem czy nam czego nie trzeba.

Przesiedzieliśmy tam z Ireną kilka godzin. Byłem olśniony i zarazem przerażony. Przez cały XIX wiek zatrzęsienie Turkowskich. Moja siostra w zachwyceniu łapała ich na oślep, spisywała całymi pęczkami, jak leci. Ja bronilem się przed tą nawałnicą, zawsze boję się szumu informacyjnego. Znalazłszy zapis urodzenia nauczyciela wiejskiego, a w nim dane o jego rodzicach, którzy byli rodzicami mojego dziadka, czyli moimi pradziadami, szedłem systematycznie w głąb czasu kolejnymi pokoleniami po metrykach urodzin i ślubu. Wiedziałem, że nie znajdę mego ojca, urodził się bowiem w Międzychodzie, w północnej Wielkopolsce.

Zabawa nie była prosta, przypominała raczej trudną partię szachów. Jednego ślubu czy urodzin trzeba było szukać czasem na przestrzeni kilku lub kilkunastu lat. Zabawa nie była prosta i z tej przyczyny, że nie do wszystkich ksiąg załączono rejestry alfabetyczne. Ponadto różni księża różnie budowali długie, często nieudolne zdania łacińskie, a im dawniej, tym było gorzej. Imiona i nazwiska pojawiały się wskutek tego w różnych miejscach tekstu, utrudniając ich znalezienie.

Kilka godzin orki archiwalnej zmęczyło nas solidnie. Jeszcze ksiądz sporządził nam odpisy i uwierzytelił je. Jeszcze obfotografowałem kościół. Jeszcze zjedliśmy na chybca suchy obiad w sklepie spożywczym i znaleźliśmy sobie nocleg opodal cmentarza u gospo-

*Wojciech 96.
Zaborowo*
*de Vladewo et matris Anaeta Jugurinus e Zaborowo
 Przemysli Tobiasz zawni. Extrahunt Matrimonium Villani
 Klaus. Antonia Adolescens Satisfamilias e Paulis Nowonostka Pr
 Premostis. Villani Jacobus et Marianna Patris Familias quondam m
 Otonis et Barbara Michalowska Virgo Davaia e Paulis Saba
 Super ferment Villani Antonius inamenciarum Conito e Zaboro
 et Romanus Werlowski Patrisfamilias e Zaborowo.

*Wojciech 96.
Zaborowo*
*Przemysli Tobiasz zawni. Extrahunt Matrimonium in Cula Pchli
 Villani Michael Werlowski Adolescens e Paulis Silius Christopori
 et in d. Werlowski quondam Patrisfamilias in Pruskis et Regina Saba
 zianka Virgo Silia Villani Sebestiani Paszgersti et Catharina al
 Sipi Jure Villani Paulus Werlowski domi Conito de Przemysli et trad
 Michalowski Piscator de Otonis

*Wojciech 96.
Zaborowo*
*Przemysli Tobiasz zawni. Extrahunt Matrimonium in Cula Pchli Premid Villani
 us Karactyla Adolescens An. 23. Silius Bernardi et Regina Theresia Jugur
 in Vladewo et Marianna Tomasdzanska Virgo 19. An. Silia Thonis e m
 anna Tomasdzanska Jugurini in Jagllawo. Sipi Jure Villani Matrimonium m
 tly, subit deas Propriator in Jagllawo et Martinus Tharwat Jugurinus d. Th***

Zapis metrykalny w Przemęcie dotyczący ślubu prapradziada autora, Michała Turkowskiego z roku 1796

dyni, która akurat zbierała z plantacji całe tony pomidorów.

Zostawiwszy w wynajętym pokoiku podręczny bagaż, ruszyliśmy z torebką pomidorów w drogę, przemierzaną wielokrotnie przez całe pokolenia Turkowskich. Świeciło słońce. Wyliczyliśmy sobie, że jakoś tam pieszo czy choćby częściowo autobusem dostaniemy się do Radomierza. Niestety, zamiast planowanych czterech kilometrów zrobiliśmy pieszo sześć, bo wskazany nam w Poznaniu nauczyciel radomierski Władysław Hewusz mieszkał na samym krańcu długiej wioski. Żadna uciążliwość nie była nam jednak przykra.

Szedłem oto tą słoneczną drogą urzeczony, pełen sprzecznych myśli. Bo co prawda całe pokolenia Tur-

kowskich chodziły tym samym szlakiem, lecz nic z nich nie pozostało. Nie ma tu już na miejscu nikogo o tym nazwisku, a na dobitkę nikt prawie już tego nazwiska nie pamięta. Czy pamięć pozostała już tylko w postaci zapisów w księgach metrykalnych urzędu parafialnego? Może zachowała się w ogromnych murach kościoła, w którym pokolenia moich przodków klękały na stopniach konfesjonału, stanowiącego dziś zabytek i były pokłony przed ołtarzem w dniach ślubów?

Nie, nie pozostało nic. Czas jest bezlitosny.

Może dopiero ja tą książką zwrócę życie moim antenatom i będzie to życie prawdziwsze i intensywniejsze niż wtedy, kiedy chodzili po okolicznych polach? Bo skondensowany obraz bywa silniejszy od przedstawionego oryginału. I może ich życie będzie w tej książce bardziej trwałe?

Tak więc żyjących Turkowskich już niestety nie dało się odnaleźć. Lecz Hewusz to jeden z potomków Turkowskich po kądzieli. Od połowy XIX wieku następował w rodzinie proces typowy zresztą w Wielkopolsce. Chłopcy z zamożniejszych gospodarstw szli do miasta, by się uczyć. Zostawali nauczycielami, księżmi, dostawali się nawet do sądownictwa, jak choćby mój dziad. Wyczytałem w literaturze historycznej, że Polak mógł zasiadać u Prusaków w sądzie w charakterze asesora, pełniącego równocześnie funkcje tłumacza, musiał się jednak legitymować pochodzeniem szlacheckim. Mój dziad Jan Piotr Turkowski był właśnie takim asesorem-tłumaczem, co jest widoczne między innymi w jego metryce ślubu. Dowiedziawszy się później w Archiwum Państwowym w Poznaniu z akt gminy Radomierz jak wielu Turkowskich było w XIX wieku ławnikami sądowymi, domyśliłem się, że wybór zawodu przez Jana Piotra nie był dziełem przypadku.

Radomierz nie jest piękną miejscowością, brak mu tej sielskiej urody, jakiej oczekujemy po gospodarskiej wsi. Musiał tę urodę stracić w ostatnich czasach. Piękna jest dopiero okolica. Jednym z pierwszych budynków po drodze z Błotnicy jest czerwona szkoła — typowy budynek niemiecki z początków naszego wieku. Potem idzie się dwa kilometry między bardzo zwykłymi polami, domami i zabudowaniami gospodarczymi. Równina, mało drzew, jakieś szopy. Aż wreszcie dochodzi się do figury Matki Boskiej, za którą położony jest domek Hewuszów. Tak jakoś żał, że gniazdo przodków nie jest uroczą wsią.

Lecz ta surowa ocena urody Radomierza wynika już z poczucia perspektywy czasu. Gdy szedłem przez wieś, olśniewała mnie świadomość, że oto idę drogą, którą oni chadzali. Że oto tu gdzieś po lewej i po prawej stronie drogi żyli i pracowali na roli, wyprawiali chrzciny, wesela i pogrzeby.

Stara, tęga matka nauczyciela Anna z Wagnerów Hewuszowa była w domu sama z kilkuletnimi wnuczkami Renatką i Justynką. Przyjęła nas podejrzliwie. Jej mąż i synowa kopali gdzieś kartofle w ramach sąsiedzkiej wymiany usług. Syn — człowiek chory, który niedawno wrócił z sanatorium, poszedł nie wiadomo gdzie, pewnie na ryby. Długo rozkręcała się rozmowa w kuchni, aż wreszcie nastąpił przełom i nasze pytania przestały budzić podejrzzenia. Chwilami ja z Ireną wiedzieliśmy o sprawach radomierskich dokładniej i więcej niż staruszka. I to ją uspokoiło. Mogłem już notować, nie budząc popłochu. A gdy przyszła synowa, po niej syn, wreszcie mąż, Anna Hewuszowa rekomendowała nas z entuzjazmem jako dobrych krewnych. Wyjęła z kredensu placek, synowej kazała przygotować kawę i butelkę wódki. Nie chciała słyszeć o naszym noclegu w Przemęcie, bo „do czego to podobne, żeby krewni

szli nocować u obcych". Niestety, byliśmy innego zdania, zresztą zostawiliśmy w Przemęcie swój bagaż podróżny. (Z noclegu u Hewuszków, a nawet z dwóch, skorzystałem dopiero za drugim pobytem w Radomierzu).

Jak wynika z akt parafialnych, na początku byli... Krzysztof i Krystyna.

Starkowo, 1760. Ego Fr. Stephanus Vicarius apud S. Andre-am anno ut supra die 12 Aprilis baptisavi infantem nomine Reginam filiam Christophori et Christinae L.C. Patrini fuere Melchior molitor et Regina filia tabernatoris, omnes de Starkowo.

Znaczy to, że 12 kwietnia 1760 roku ochrzczono Reginę, córkę Krzysztofa i Krystyny, legalnie zaślubionych, a rodzicami chrzestnymi byli młynarz Melchior i córka karczmarza Regina, wszyscy ze Starkowa. I to ostatnie się zgadza, bo cała dokumentacja wskazuje, że moja linia Turkowskich przeszła z Górska do Starkowa, a stamtąd do Radomierza. Zresztą wioski te leżą w najbliższym sąsiedztwie, jedna przy drugiej, w tej samej parafii przemęckiej.

Brak nazwiska w tym dokumencie niczemu nie przeszkadza. Mam pięć uwierzytelnionych odpisów z księgi chrztów, mówiących o dzieciach Krzysztofa i Krystyny, zamieszkałych w Starkowie. Po Reginie urodził się Jakub 28 IV 1765, potem Małgorzata 13 VII 1767, następnie Jan 9 I 1770, a wreszcie mój prapradziad Michał 23 IX 1771. W czterech zapisach brak nazwisk, brak ich również w zapisie chrztu Michała i jest to w owych czasach zjawiskiem normalnym. Ale uratował mnie wyjątek. Oto zapis chrztu Jana głosi, że małżonkowie Krzysztof i Krystyna noszą nazwisko Turkowskich. Zresztą wszystko staje się całkiem jasne w dokumencie ślubu Michała Turkowskiego.



Spotkanie z rodziną. Od lewej: autor, Justynka i Władysław Hewuszowie

Nr 25/1796. Die 7 Novembris 1796. Radomierz. Praemissis tribus Bannis Contraxerunt Matrimonium in Eccl. Prhli Premet Villani Michael Turkoski adolescens, filius Christophori et Christinae Turkoski quondam Patrisfamilias in Gorsko et Regina Sobkowianka Virgo filia Villani Sebastiani Kasperski et Catharina Liberi. Testes fuere Villani Paulus Turkoski Semicmeto de Przedmieście et Matheusz Miskowiak Piscator de Ostonino. Aetas sponsorum: Sponsus an. 25, sponsa an. 22.

Co znaczy, że 7 listopada 1796 roku w Przemęcie pobłogosławiono małżeństwo z Radomierza, zawarte przez Michała Turkoskiego, syna Krzysztofa i Krystyny Turkoskich z Górską oraz Reginy Sobkowianki, córki Sebastiana i Katarzyny Kasperskich. Świadkami ślubu byli półkmięć Paweł Turkoski z Przedmieścia i rybak

Mateusz Miśkowiak z Osłonina. Wiek małżonka 25, małżonki 22 lata.

Teraz już wszystko gra jak w zegarku. Wiek małżonka dokładnie zgadza się w zestawieniu z jego metryką urodzenia.

1771. Starkowo. 23 Septembris. Ego Fr. Dominicus baptisavi infantem nomine Michaellem, filius Christophori p.t. Patris familias et Cristinae C.L. Patrini fuerunt: Andreas scultetus ex Poledowo et Catharina famula de Zaborowo.

Co znaczy, że 23 września 1771 ochrzczony został Michał — syn Krzysztofa i Krystyny ze Starkowa, a rodzicami chrzestnymi byli Andrzej sołtys z Poledowa i Katarzyna z Zaborowa.

Ja urodziłem się dokładnie tak samo jak Michał, 23 września, a później — znów tak samo jak on — ożeniłem się w drugim roku po utracie niepodległości przez Polskę. Lecz za jego czasów nasza ojczyzna traciła niepodległość na raty, a za moich nagle, tak gwałtownie, że było to nie do wiary. Starkowo i Radomierz bowiem znalazły się formalnie pod zaborem pruskim już na mocy drugiego rozbioru Polski, ponad dwa lata przed upadkiem insurekcji i trzecim rozbiorem. W ogóle cała parafia przemęcka znalazła się w granicach Prus miesiąc po straszliwej katastrofie żywiołowej, jaka przeszła nad Wielkopolską.

Szperając w Archiwum Archidiecezjalnym w Poznaniu, w księgach metrykalnych parafii przemęckiej, znalazłem w jednej z nich karteluszek, skądś wycięty, na którym figurował krótki tekst: „19 grudnia 1792 wieża spadła”. Na pożółkłym papierze stare pismo dawnym, dobrym atramentem. Jakaś inna ręka wyblakłym już atramentem przekreśliła litery „rz” i napisała nad nimi „ż”. Oto skrupulatność połączona z tępotą.

Znałem już tę datę ze źródeł drukowanych, znałem

też już widok kościoła przemęckiego z jedną wieżą i płaskim zakończeniem po upadku drugiej. Wygląda ten kościół jak kaleka, budzi jednak nie litość lecz szacunek, taki sam, jaki żywimy dla inwalidów-bohaterów.

Owego zimowego dnia roku 1792 szalał huragan nad okolicą. Wiatr zrzucał dachy z domów, niekiedy leciały w powietrze całe stodoły. Wichura wyrывała drzewa z korzeniami. Stogi słomy zostały rozwiane z pół na cztery strony świata. Ludzie palili w chałupach gromnice i modlili się przed świętymi obrazami. Na przemęckim kościele huragan zerwał wtedy piękny, ażurowy hełm z południowej wieży.

Miesiąc później przeszedł przez Wielkopolskę huragan drugiego rozbioru Polski.

Gospodarstwo

§ 1

Michał Turkowski podług okazanego w oryginale atestu królewskiej Komishyi Specyalnej dla regulacji stosunków włościan w Amcie Kaszczorskim d.d. Kaszczorz z dnia 16 maja 1841 w skutek reskryptu ministerstwa finansowego 22 lipca 1832 w interesie regulacji stosunków włościan w Radomierzu nabył własność gospodarstwa Kmiecnego Nr. 14.

Żonaty był z Reginą z Kasperskich. Taż zmarła już przed 14-tu laty, więc jeszcze przed nabyciem własności. Zostawiła po sobie z tego jedyne małżeństwa oprócz wzmiankowanych na wstępie czworga dzieci jeszcze jednego syna z imienia Józef, który w Bydgoszczy Księdzem jest, jako jedynych sukcesorów.

§ 2

Ojciec Michał Turkowski od swojej nieruchomości Nr. 14

I. synowi Janowi ... (tu akt wymienia dokładnie kawałki ziemi i budynki),

II. synowi Antoniemu ... (tak samo).

§ 3

Znajdujące się przy i na nieruchomości sprzęty rolnicze obejmujący między sobą za zezwoleniem ojca podzielili, także bydło między wszystkie dzieci podzielonem zostało, zaś rzeczy po matce córka zamężna Michałowska sama dostała.

To wszystko uznając nawzajem kwitują się.

§ 5

Obejmujący zobowiązani są swemu ojcu aż do jego śmierci następujący wymiar bezpłatnie dostarczać:

1. żyta wiertel 8, miary poznańskiej
2. jęczmienia, grochu i prosa z każdego gatunku wiertel 1
3. mąki pszennej półwiertela
4. perek wiertel 6
5. koszul 2 z płótna cieżkiego
6. koszul 4 panesznego płótna
7. na wydatki Tal. 8
8. na wieprza Tal. 6
9. co tydzień półkwarty masła
10. codziennie półkwatki mleka
11. co niedziela iedną furę do kościoła
12. na sól Talar jeden
13. pomieszkanie w domu Antoniego a to w Alkierzku wraz z wolnym drzewem na opał.

Gdyby Antoni i żona jego z ojcem źle obchodzili się, wtedy jemu wolno będzie niać stancyą w Przemęcie i w tym przypadku winni obejmujący komorne wspólnie zapłacić i oby dwa wspólnie dwa sążnie drzewa szczykowego i cztery kopy snopkowego drzewa dać.

Obejmujący zafantują na ten wydbanek każdy swoją połowę nieruchomości i zezwalają na to, aby wydbanek w połowie na każdej nieruchomości dla ojca zaintabulowanym został.

Następuje jeszcze sześć dalszych paragrafów, z których ostatni zawiera zalecenie, jak gdyby zapomniane wcześniej:

Obejmujący Antoni obowiązany jest bieliznę ojca w wydanku kazać prać bezpłatnie.

Wstęp do tego aktu notarialnego z 17 września 1842 roku sporządzonego w powiatowym niegdyś mieście Wolsztynie oraz jego zakończenie spisane zostały w oryginale w języku niemieckim. Nie zacytowałem tu fragmentów noszących charakter formalno-biurokratyczny. Wymienieni we wstępnej części „stający do kontraktu” są dalej wskazani. Wyjaśnię jednak, że Stanisław Turkowski — brat Jana, Antoniego, Marianny i Józefa w chwili sporządzania aktu był już właścicielem innego gospodarstwa. Było to zgodne z obyczajem wielkopolskim, by synów kolejno wyposażać i usamodzielniać.

Cała część główna aktu — ta wyżej zacytowana we fragmentach — sporządzona została dwujęzycznie: po niemiecku i po polsku. Pozostawiam ocenie czytelnika jej precyzję i ortografię, a także jej wymowę historyczną, obyczajową, nawet psychologiczną, nie mówiąc już o prawniczych walorach dokumentu.

I jeszcze jedno wyjaśnienie: Michał „nabył” gospodarstwo, które dzieli, w toku uwłaszczania chłopów wielkopolskich, na podstawie ustawy z roku 1823. „Nabył” oczywiście swoje własne gospodarstwo, posiadane jako dziedzictwo, nadane jeszcze w XVIII wieku przez opactwo cystersów.

Zdobycie tekstu powyższej umowy było dla mnie olśnieniem i stało się przełomem na drodze poszukiwań materiałów, dotyczących rodu Turkowskich. Właściwie dopiero jej odkrycie w archiwum sądu w Wolsztynie stało się skutecznym bodźcem do wszczęcia poszukiwań na szerszą skalę, a także do podjęcia studiów historycznych, mogących te poszukiwania i uławić, i wprowadzić na właściwe tory.

W roku 1796 we wcielonej do Prus południowych Wielkopolsce zostają upaństwowione dobra kościelne, tym samym dobra przemęckich cystersów. W związku z tym Michał Turkowski, występując w roku 1801 jako sołtys Radomierza, jest „okupnikiem”, to znaczy gospodarzem rozliczającym się z państwem opłatami pieniężnymi. Posiada już wtedy zarówno majątność po Tomaszu Kasprze, nadaną przywilejem klasztornym z roku 1751 jak i posiadłość sołecką. Tę ostatnią traci między końcem roku 1830 (po powstaniu listopadowym zmiana kursu w Wielkim Księstwie Poznańskim — polityka Flottwella) a lipcem 1832, kiedy to odebrano mu sołectwo na rzecz Fliegera. Równocześnie udaje mu się jednak wymanewrować duże gospodarstwo dla średniego syna Stanisława. W lipcu 1832 oba te gospodarstwa przechodzą na własność użytkowników mocą ustawy uwłaszczeniowej, co zostaje potwierdzone układem z roku 1848. W dniu 17 września 1842, to znaczy przed ostatnim układem uwłaszczeniowym, Michał dzieli swoją posiadłość między synów Jana i Antoniego.

Mój pradziad Antoni w roku 1871 podzielił swoją część między córki: Anielę — później Ławecką i Balbinę — później Michalewiczową. Pierwsza część przez dalszy ożenek przeszła na Solibiedów, druga na Hewuszów, lecz stracona przez nich, dostała się w posiadanie Olechów.

Najmłodszym Hewuszom, u których teraz gościłem, nie pozostało, niestety, nic ze schedy Turkowskich. To, co mają — a jest to dom z ogrodem i zabudowaniami gospodarczymi oraz około dwóch hektarów roli — wzięło się z połączenia posagów Władysława i Teresy, zostało nie tak dawno kupione.

Dlaczego tak się stało?

Gospodarstwo po Balbinie i Józefie Michalewiczach

dziedziczyła Katarzyna, która wyszła za Marcina Hewusza. U tego to małżeństwa Balbina została na wymiarze (czy na wycugu, wydbanku albo dożywociu) według umowy podobnej do tej, jaką zacytowałem na początku rozdziału. Dożywocie takie przewidywało pruskie ustawodawstwo cywilne. Dodajmy, że Michalewicz zginął najpewniej w stanie nietrzeźwym od uderzenia końskim kopytem w głowę 21 listopada 1899 na weselu tejże Katarzyny, gdy Balbina miała czterdzieści dziewięć lat. Żyła więc na wymiarze u Hewusza, zapewne ku jego utrapieniu, jeszcze przez trzydzieści pięć lat. Zmarła bowiem w osiemdziesiątym piątym roku życia.

Utrzymywanie starych, nieproduktywnych ludzi na gospodarstwie zawsze było na wsi traktowane jako obowiązek uciążliwy, a przecież minęły bezpowrotnie dawne „dobre” czasy, gdy synowie wypędzali starych rodziców z domu i należało do rzeczy normalnych, że starzy stawali się żebrakami bez dachu nad głową. Dopiero Polska Ludowa w pamiętnym roku 1977 dokładnie zmasowała te sprawy na kartach obyczaju wiejskiego, wprowadzając emerytury dla rolników.

Gorzej, że życie Marcina Hewusza układało się w ogóle niezręcznie. Co prawda po śmierci Katarzyny wziął on sobie drugą żonę, lecz z obiema miał łącznie dwadzieścioro sześcioro dzieci. Można sobie wyobrazić jak ta czereda objadała gospodarstwo, a ilu przyczyniała zmartwień. Czy nie stąd brały się pożary, a może i pomory bydła, o których czytam w innych dokumentach.

Fakt faktem, że w roku 1933 trwa postępowanie upadłościowe. A oto jeden z dokumentów, dotyczących tej sprawy. Oto co się stało ze świetnością rodu Turkowskich:

Obwieszczenie

Na zasadzie art. 679 KPC obwieszczam, że w dniu 12 stycznia 1935 r. o godz. 11 odbędzie się w Sądzie Grodzkim w Wolsztynie pokój nr 5 licytacja nieruchomości położonej w Radomierzu w powiecie wolsztyńskim zapisanej w księdze wieczystej Sądu Grodzkiego w Wolsztynie pod Radomierz tom I karta 5 na nazwisko rolnika Marcina Hewusza w Radomierzu. Nieruchomość obejmuje dom mieszkalny, chlew, maszyny i przynależności o powierzchni 14, 18, 68 ha. Powyższa nieruchomość została oszacowana na sumę 18.010 zł. Sprzedaż zaś rozpocznie się od ceny wywołania tj. od kwoty 13.607,50 zł. Licytant przystępujący do przetargu powinien złożyć rękomię w gotówiznie w kwocie 1.001 zł... itd.

Wyobraźmy sobie w tej sytuacji starą teściową na utrzymaniu. Nie otrzymywała pewnie wiele, na pewno zięć nie dawał jej pełnego wymiaru, a i tak czuła się zawadą u niego, u człowieka, który już nie jej córkę miał za żonę. Na szczęście Balbina miała drugie źródło utrzymania: rentę po zabitym przez konia mężu, rentę „od wypadków w rolnictwie”. Przeprowadziła się więc do Błotnicy i tam zamieszkała przy drugiej córce Annie. Mam kilka dokumentów, związanych z jej rentą akurat z czasów, gdy zmieniała się z dnia na dzień wartość pieniądza:

Z powodu nieszczęśliwego wypadku zmarłego męża pani Józefa Michalewicza z dnia 21 XI 1899 pobiera Pani 1/5 podstawowego zarobku rocznego czyli miesięcznie 5,75 marek. W myśl ustawy sejmowej z dnia 2 lipca 1921 przyznaje się pani 700% dodatku drożyznianego do renty począwszy od 1 stycznia 1921 w wysokości 41 marek...” W myśl rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 26 maja 1922 przyznaje się Pani od 1 lipca 1922 począwszy aż do odwołania dalszy dodatek drożyzniany, który wynosi 410 marek miesięcznie.

Dodatek ten od 1 I 1923 wynosi 580.080 marek, a od 1 I 1924 600.000 marek, co razem z rentą (zaokrągloną z 5,75 do 6 marek) wynosi 600.006 marek miesięcznie.

Jednakże, gdy wszczęte zostało postępowanie upadłościowe, Balbina miała szansę uzyskania swoich należności z tytułu wymiaru już nie od źle wypłacającego się zięcia, lecz z kwot uzyskanych przez licytację gospodarstwa, to znaczy od komornika sądowego. To zapewne skłoniło ją do prowadzenia dokumentacji związanej z wymiarem.

Na kartkach zwykłego szkolnego zeszytu liniowanego w niebieskiej okładce kartonowej stara kobieta spisywała produkty, otrzymywane od Hewusza, by móc wykazać sądowi, co jej się jeszcze należy.

Mam ten zeszyt u siebie w domu. Lektura tych karetek, spisanych ręką osiemdziesięcioletniej kobiety, była dla mnie przeżyciem szczególnego rodzaju, przeżyciem literackim. Bo czyż to nie sama poezja?

Oto jedna ze stroniec zeszytu:

Od 19 kwietnia 1931 wydaje Hewuszowa co tydzień Słodkie mleko i pół funta masła.

14 funtów mąki pszennej

1 sierpnia dała Hewuszowa 11 funtów mąki pszennej.

1931 dał Hewusz 15 centnarów perek.

16 czerwca dała Hewuszowa 1 Mendel jaj.

19 sierpnia Jan przywiózł 50 funtów owsa.

Wielokartkowe notatki o takim samym charakterze pisma kończą się zapisem poczynionym ręką córki Balbiny — Anny: „Matka zmarła 6 listopada 1934, żyła 84 lat i 5 miesięcy”.

Zeszyt nie doczekał się prawdopodobnie zaszczytu zostania dowodem sądowym, ale w aktach dotyczących licytacji znajduje się karta z wykazem zaległego wymiaru za lata 1928—1931, pisana ręką Balbiny, sporządzona wyraźnie na podstawie zeszytu, który obejmuje te same lata. Może to brudnopis wykazu dostarczonego sądowi?

Winienem jeszcze wyjaśnić, jakim sposobem doszedłem do posiadania pamiątek dokumentarnych po Balbinie z Turkowskich Michalewiczowej.

Drugi pobyt w „gnieździe moich przodków” rozpocząłem od kilkugodzinnego buszowania w księgach metrykalnych w przemeckiej parafii. Skończywszy tę robotę, wsiadłem do taksówki (jest taka we wsi, pyszniącej się tradycją kasztelańskiego miasta, może właśnie dla uszanowania tej tradycji?) i pojechałem do Radomierza, uprzedziwszy Władysława Hewusza przez telefon szkolny o zamiarze odwiedzenia go. Nie będę jednak opisywał przebiegu tej wizyty. Ważne jest to, że następnego ranka, gdy Władek (nauczyciel) i jego córka Renatka (uczennica) poszli do szkoły, ja wybrałem się z przedszkolaczką Justynką na spacer do Błotnicy.

Droga od Hewuszów do tej miejscowości plus spacer po niej i jeszcze powrót dają w sumie około dziesięciu kilometrów. Nie zdziwiłem się więc, gdy w drodze powrotnej do Radomierza mała Justynka okazywała zmęczenie. Gdy znaleźliśmy się na prowadzącej jakby wprost ku słońcu szosie, powiedziała:

— Wuja, a nie weźmiecie mnie na barana?

Zatrzymałem się nagle na to „wy”, olśniony i wzruszony. Zwrot ten był użyty po staropolsku. Prócz towarzyszy partyjnych, używających go w całkiem innym klimacie, nikt nigdy nie zwrócił się do mnie w ten sposób. Stało się to jedyny raz w życiu, akurat w owym „gnieździe moich przodków”. W słowach dziewczynki poczułem smak dawnych wieków. Spojrzałem na nią, szukając w jej twarzyczce cech moich babek i prababek. Musiały być do niej podobne.

Nie wolno mi, zawałowcowi, dźwigać na plecach nawet takiego ciężaru jak paroletnie dziecko. Lecz po tym „wy” wziąłem Justynkę „na barana”. A choć nie mogłem nieść jej długo, bo moje dolegliwości wieńco-



Balbina z Turkowskich Michalewiczowa

niej liczy. Anna i ta
w roku 1813 wyszła za Michała Kleińskiego, który ja-
ko niemiecki żołnierz poległ w 1818 roku w Belgii,
ostawił po sobie dwie córki: Wandę i Marię. Z tą to wdo-
wą Anną ożenił się już w wyzwolonej Polsce listonosz
Jan Adamczewski, urodzony w roku 1880, a więc liczą-

we wystąpiły dokuczliwie, zapewne sam fakt udzielenia jej pomocy sprawił, że potem szła już różnie.

Lecz wpieryw jeszcze spacerowaliśmy po Błotnicy. I oto idąc ulicą, prowadzącą w stronę dworca, na jednym z domów, spostrzegłem stary napis przez całą szerokość: „W. Turkowski”, a pod nim mniejszymi literami coś o handlu zbożem i narzędziami rolniczymi. Pierwszym moim odruchem było wejście do ogrodu bliżej domu, nastawienie aparatu fotograficznego i pstryknięcie, jakbym się bał, że nieoczekiwany widok zniknie za chwilę.

Potem podeszliśmy do ludzi stojących przed domem, którzy już zainteresowali się nami. Na pytanie o Turkowskich powiedzieli: „Panie, ten napis to może i ze sto lat ma, już go wiele razy zamalowano, ale zawsze wyłazi na wirzach”.

Po Turkowskich nie pozostało jednak żadnej pamięci. Lecz ja przecież przyszedłem z Justynką do Błotnicy wyraźnym śladem. Wiedziałem mianowicie, że mieszka w tej wiosce stary człowiek, listonosz na emeryturze, Jan Adamczewski. Dziewczynka bezbłędnie zaprowadziła mnie do murowanego domku z werandą, ginącą w winorośli.

Chcąc tu pokazać Adamczewskiego, muszę przedstawić pewną gałązkę genealogiczną. Otóż wspomniana w poprzednim rozdziale Balbina Michalewiczowa miała trzech synów i dwie córki. Katarzyna wyszła za Marcina Hewusza i z nim dziedziczyła gospodarstwo, później licytowane. Drugiej córce było na imię Anna i ta w roku 1913 wyszła za Michała Kicińskiego, który jako niemiecki żołnierz poległ w 1916 roku w Belgii, osierocając dwie córeczki: Wandę i Marię. Z tą to wdową Anną ożenił się już w wyzwolonej Polsce listonosz Jan Adamczewski, urodzony w roku 1889, a więc liczą-



Autor z Janem Adamczewskim

cy sobie — gdy z nim rozmawiałem — osiemdziesiąt kilka lat.

Po części obecność małej Justynki, a po części moja duża znajomość problemów rodzinnych sprawiły, że rozmowa ze staruszką rozkręciła się gładko. Okrągłutki, siwy człowiek o wesołym usposobieniu rad był z okazji porozmawiania o dawnych czasach, a okazja to była zupełnie dlań wyjątkowa, bo nie żyli już rówieśnicy, a ja byłem wart prawie tyle co oni. Pociągający za język, mówił żywo i z zapałem. Pamiętał Balbinę — swą teściową. Pamiętał i Michała Kicińskiego, i Marcina Hewusza, i nauczyciela z Wijewa. Pamiętał wiele osób ze zdjęcia ślubnego Kicińskich z 1913 roku. Odnaleziona na strychu dużego formatu fotografia zbiorowa w oszklonej ramie przedstawiała kilkadziesiąt osób, ustawionych w paru szeregach na tle wiejskiego domostwa, domu Balbiny w Radomierzu, domu mego pradziada. Wyprosiłem od niego to zdjęcie, wyjąłem je zaraz z ramy i wytarłem czystą ściereczką kurz. Zapiisałem sobie na kartce imiona i nazwiska osób, które stary listonosz rozpoznał. Zwróciłem mu później to zdjęcie, gdy olsztyński fotograf wykonał kilka jego reprodukcji, a prócz tego powiększył portrecik Balbiny, uroczej gospodyni w świątecznym stroju wiejskim, w czepku na głowie.

Po tej fotografii znalazł się zapisywany przez Balbinę zeszyt z notatkami o wymiarze. Po nim jakieś teczki i luźne szpargały, najczęściej dotyczące podatków i spraw sądowych, jak to na wsi. Wśród nich te dokumenty, które cytowałem na poprzednich kartkach. Wyjąłem je z teczek, a stary Adamczewski chętnie mi je darował, pasierbica zaś nie zgłaszała sprzeciwu.

Jak zostać sołtysem

W „Polskiej encyklopedii szlacheckiej”, Warszawa 1938, tom XII, na stronie 32 czytam:

„Turkowski h. Grzymała odm. 1500, Turkowo pow. bukowski”.

I w książce Wiktora Wittyga pod tytułem „Nieznana szlachta polska i jej herby”, Warszawa 1908, na stronie 334:

„Turkowski herbu Grzymała bez bramy, Wojciech w r. 1553 opłaca pobór ze wsi Turkowa i Zakrzewa, woj. i pow. poznański”.

I jeszcze w tomie XII „Słownika geograficznego Królestwa Polskiego” pod redakcją Bronisława Chlebowskiego, Warszawa 1892, na stronie 645:

„Turkowo, wieś i dwór, pow. bukowski (Grodzisk), o 7 km na zach.-płn. od Buku (par. prot., poczta i stacja drogi żel.), nad rzeką, która z Sarbką wpada do Mogilnicy (dopływ Obry). Graniczy z Sliwnem, Zakrzewkiem, Sędzinkami, Witkowem i Niegolewem; par. kat. Duszniki... Ok. r. 1564 biskup poznański pobierał z 9 łąnów kmiecych 2 grzywny i 12 gr. R. 1580 dziedziczył T. Maciej Jastrzębski; było tu 8 łąnów osadzonych, 1 pusty, 2 ćwierci karczmi, 5 zagród, komornik, osadnik, pasterz i 20 owiec...”

Mam żal do E. Calliera, który w słowniku Chlebowskiego opracował hasło Turkowo, że zabrakło mu informacji, dotyczącej tych paru lat wcześniej, że nie sięgnął do tych Turkowskich, których związek z Turkowem jest w świetle źródeł heraldycznych oczywisty. Z drugiej strony nie mam ochoty zapuszczać się dalej w „pańskie” czasy mego rodu, bo i tak nie zdobędę informacji o antenatach wystarczających na to,

bym mógł snuć jakieś analogie do mego życia, by tamte postacie stały się jakąś projekcją na sprawy i życie współczesnych Turkowskich. Aby jednak wypełnić lukę w dziejach rodu, wysnułem pewną koncepcję, powstałą jako wynik wielu miesięcy studiów, poprzedzonych szperaniem w księgozbiornicy własnym i w bibliotekach.

Otóż w roku 1566 wystąpiły w Przemęcie rozruchy chłopskie, o których wspominają zarówno historycy zajmujący się dziejami chłopów polskich, jak i dziejopisarze Wielkopolski. Nie był to pierwszy bunt chłopów w przemęckich dobrach cystersów. Co prawda nie udało się dotrzeć do szczegółów rozruchów w roku 1566, lecz przeczytałem bardzo wiele na temat „zaburzeń chłopskich w dobrach klasztoru przemęckiego w roku 1309” — jak to precyzuje Gerard Labuda w Rocznikach Historycznych tom XX z roku 1955. Píše on w swej pracy co następuje:

W Publicznej Bibliotece Miejskiej imienia Raczyńskich w Poznaniu znajdują się trzy XVII-wieczne rękopisy z dawnej biblioteki cystersów w Wągrowcu. W jednym z nich pod tytułem *Fructus ventris tui* mieszczą się luźne wspominki z klasztoru cysterskiego w Przemęcie, na przykład: *Anno Domini 1309, quarto die ante festum sancti Martini episcopi, laici in villa Mochy, incensa curia, cremaverunt dominum Petrum abbatem et cum eo fratres: Bernardum Sacerdotem, Joannem diaconum, Andream plebanum cardinalem et Urbanum puerum. Hi omnes et sedem curia exusti sunt. Quorum memoria sive anniversarium celebratur VIII Novembris.*

Tekst ten został przepisany dla celów kultowych ze ściany kościoła klasztornego w Przemęcie; każdego roku 8 listopada odprawiano bowiem modły żałobne za ofiary buntu. W skrócie znaczy to, że tego właśnie dnia w roku 1309 we wsi Mochy, należącej do klasztoru, ludność spaliła żywcem opata Piotra i jego „braci”:

kapłana Bernarda, diakona Jana, plebana Andrzeja i chłopca Urbana. Snując historyczne rozważania na ten temat, uczony historyk pisze między innymi:

Uderza nas sam moment wystąpienia chłopów moskich przeciw opatowi Piotrowi i zakonnikom. Zapiska wymienia datę 8 listopada, to znaczy okres, w którym zwykle pobierano od chłopów wszelkie świadczenia i daniny. Jest rzeczą możliwą, że opat wraz ze swą świtą zjawił się na terenie wsi Mochy w celu ich wyegzekwowania. Nieporozumienia, jakie na tym tle wybuchły, mogły skłonić poddanych do wystąpienia opisanego w źródle.

Nie mam powodu żałować, że nie poznałem szczegółów rozruchów z roku 1566. Miały zapewne podobne podłoże i charakter, choć może nie kończyły się spaleniem zakonników. Jedno wydaje mi się pewne, że cystersi musieli po tej burzy społecznej dokonać jakichś zmian personalnych w aparacie zarządzającym ich dobrami, a może wprost znaleźć nowych zarządców na miejsce wyrzniętych przez chłopstwo. W tym świetle osiedlenie się Wojciecha Turkowskiego lub jego synów w Przemęcie może się wiązać z jakąś odnową stosunków feudalnych w majątkach cysterskich. Być może, Turkowscy spełnili w tym dziele jakąś postępową rolę.

W Poznańskim Archiwum Państwowym miałem w ręce akta dóbr przemęckich, sięgających aż XIV wieku, niestety są to akta szczątkowe, w których nic nie mogłem znaleźć na interesujący mnie temat.

Muszę tu jednak odnotować, że w toku studiów doszedłem do paru innych rzeczy. Wpierw zafundowałem sobie w jednym z antykwariatów tom III serii 2 „Archiwum Komisji Historycznej” wydany w roku 1939 w Krakowie nakładem Polskiej Akademii Umiejętności. Jest w tej książce, wśród innych materiałów, opublikowany przez Edmunda Długopolskiego „In-

wentarz dóbr i dochodów biskupów poznańskich z r. 1564". Turkowo figuruje w tym inwentarzu w rejestrze dziesięcin pobieranych z klucza bukowskiego. Okazuje się, że Callier z tego właśnie czerpał źródła (tzn. z inwentarza, nie z pracy Długopolskiego), bo podaje te same dane. Turkowo należało więc jeszcze w tym roku do Turkowskich i to opis ich gospodarstwa podaje zarówno Długopolski jak i Callier. Mieli moi przodkowie dziewięciu kmieci w Turkowie, w Zakrzewie ośmiu kmieci — jak głosi dalej wspomniany inwentarz.

Co się więc stało w roku 1580? Według mnie są dwie możliwości a nawet trzy. Jedna to kataklizmy: pożar, bankructwo czy utrata ziemi z przyczyn politycznych. Druga — małżeństwo córek Wojciecha, z których jedna otrzymała może jako wiano jedną, a druga drugą wieś, synowie zaś poszli w świat. Może jednym z zięciów był wspomniany u Calliera T. Maciej Jastrzębski?

Trzecia wreszcie możliwość — młodzi Turkowscy poszli w świat po prostu dlatego, że ich zbyt wielu było na tych kilkunastu łanach.

Ważniejsze jest z pewnością pytanie: w jaki poszli „świat”? Nie ulega wątpliwości, że do Przemętu, a drugą miejscowością jest Bukownica pod Ostrzeszowem. Albo poszli jednocześnie do tych dwóch miejsc, albo w pierw do Bukownicy a stamtąd do Przemętu.

Bukownicę znalazłem w książce Józefa Nowackiego „Archidiecezja Poznańska w granicach historycznych i jej ustrój”, a stanowiącej II tom „Dziejów Archidiecezji Poznańskiej”. Tam to na stronie 498 czytam: „Bukownica była własnością arcybiskupów gnieźnieńskich... Po przeprowadzeniu rewizji przekazano plebanii krótko przed r. 1635 dwa łany sołectw Turkowskiego i Janowskiego z łąkami...” itd. Wygląda na to, że

Turkowscy zakończyli już wtedy sołecką karierę w tej wsi biskupiej.

Sołtysi w Bukownicy i sołtysi w Przemęcie! Zdziawiająca zbieżność: jedni i drudzy w dobrach kościelnych. Było to chyba niezłe zajęcie dla synów szlacheckich, którzy nie bardzo mieli co dziedziczyć po ojcu. Sołectwo u pana świeckiego mogło ewentualnie być traktowane jako dyshonor, ale w dobrach kościelnych — nie! W ogóle już wtedy urzędy te nadawano w zasadzie szlachlicom, a w następnym wieku, mianowicie w roku 1669 konstytucja definitywnie zabroniła nadawania wójtostw i sołectw ludziom pochodzenia nieszlacheckiego. A przecież chleb sołecki był dobry, może nawet lepszy od tego, który jadła drobna szlachta ze swych łąnów. Toż Gloger w swej „Encyklopedii staropolskiej” podaje, że „w większych sołtystwach sołtysi mieli swoich kmieci i czynszowników”. Tym bardziej musiało to występować w dobrach kościelnych.

W dalszym ciągu zastanawiam się, w jaki sposób Turkowski trafił z Turkowa do Przemętu? Zostawię na boku Bukownicę, o której nie wiem nic ponad to, co wyżej zacytowałem.

Oto moi antenaci sąsiadowali z dobrami biskupów poznańskich, których majątki obejmowały między innymi Buk. Znali się na pewno z ludźmi prowadzącymi biskupie gospodarstwa, a ci orientowali się, gdzie wakowały posady zarządców i stanowiska sołtysów.

Turkowski z Turkowa mógł zresztą trafić do cystersów bezpośrednio, też niemal po sąsiedzku. Odległość Przemętu od jego siedziby wynosiła w linii powietrznej nie więcej niż czterdzieści kilometrów. Obie miejscowości leżą w dorzeczu Obry. Zarówno w Turkowie mogło się słyszeć o rozruchach chłopskich u cystersów, jak w Przemęcie o majątkowych i rodzinnych sprawach Turkowskich.

Posiadam dokumenty mówiące o tym, że dwa wieki później jeden z Turkowskich — mój przodek w najprostszej linii — jest sołtysem w dobrach przemęckich. Chodzi o mego praprapradziada Krzysztofa w Górsku, potem w Starkowie. Później jego syn Michał był sołtysem w Radomierzu. Na pewno dziedziczyli tę godność. Do rodzinnych tradycji musiała należeć umiejętność czytania i pisania, zapewne już Wojciech lub jego synowie umiejętność tę posiadali, jeżeli ich przyjęto do zarządzania dobrami klasztornymi.

Można zapytać, dlaczego Turkowscy poszli na stanowisko nie najwyższej rangi, choć nie hańbiące szlachcica, a nie postarali się o jakieś bardziej godne pozycje państwowe lub kościelne? Może u cystersów po prostu im się opłacało? Ale ja sądzę o tym inaczej. Otóż Turkowscy nie lubią i nie umieją pchać się do przodu, wycofują się raczej na bok, gdy pchają się inni. Osobiście przez całe życie traciłem na takiej właśnie postawie. I wiem, że tacy byli wszyscy krewni, ci, których znam, najbardziej zaś taki był mój ojciec.

Jeżeli pełniłem kiedykolwiek jakieś funkcje kierownicze, były to także tylko funkcje rangi sołtysa. Ale za to pochlebiam sobie, że nigdy nie przynoszono mi władzy „w teczce”, byłem zawsze wybierany bezpośrednio przez zespoły ludzi, którymi miałem kierować. A więc bywałem często sekretarzem podstawowych organizacji partyjnych na wsi, w środowisku nauczycielskim, w środowisku twórczym. Nigdy jednak nie powoływano mnie wyżej, chyba że do komisji problemowych, to znaczy do roboty, a nie do rządzenia. Pełniłem też trudne obowiązki prezesowskie, raz wśród nauczycieli, drugi raz wśród pisarzy. W pracy zawodowej nie wyszedłem powyżej stanowiska kierowniczego w zakładzie pracy. Byłem więc kierownikiem szkoły, kierownikiem internatu licealnego, dyrektorem wojewódzkiej

biblioteki. Na żadne z tych stanowisk nie wpraszałem się, a nieraz broniłem się przed tym.

W toku swych studiów zastanawiałem się czy moje konstrukcje myślowe i rekonstrukcje historyczne na temat „sołtystwa” Turkowskich zgadzają się z aktualną wiedzą historyków na temat gospodarki cystersów. Zgromadziłem więc wszystko, co w Polsce zostało opublikowane na temat tego zakonu, poczynając od dzieł ogólnych w rodzaju trzypięciotomowego dzieła „Kościół w Polsce”, poprzez drobne prace Tadeusza Manteuffla, aż do takich przyczynków, jak na przykład Józefa Frieskego „Pierwsza fundacja klasztoru w Przemęcie z r. 1210”. W świetle całej tej ogromnej literatury wszystko się zgadza.

Prawdą jest, że zakon cystersów powstał jako wyraz buntu ideowego przeciw materialnej zapobiegliwości benedyktynów i pierwotnie jego członkowie poświęcali życie kontemplacji, gardząc dobrami doczesnymi. Ale też rychło zaczęli lubować się w posiadaniu majątków i w korzystaniu z nich. Prawdą jest, że cystersi przez dłuższy czas — oczywiście, coraz słabiej — bronili się przed niżeniem do roli zwykłych zjadaczy renty gruntowej. Ale też wreszcie przystosowali się do istniejących w Polsce form wyzysku feudalnego. Jak to stwierdza Manteuffel: „Tak więc zakon cysterski zrezygnował kolejno z wyróżniających go dotąd cech gospodarki rolno-hodowlanej, upodabniając się coraz bardziej do wielkich posiadłości feudalnych”.

Mógłbym tu napisać całą rozprawę historyczno-ekonomiczną na temat tej gospodarczej ewolucji cystersów, ale przecież nie o to tu chodzi. Może tylko jeszcze jeden cytat z innej pracy tego samego autora: „...cystersi oparli swoją gospodarkę o eksploatację nadawaną sobie ludności poddańczej, a potem czynszowników”.

A więc wtedy, w drugiej połowie XVI wieku, Przemęt potrzebował sołtysów!

No dobrze, ale jak żył taki sołtys? Wiele na ten temat dowiedziałem się z wilkierzy, zamieszczonych w XI tomie „Archiwum Komisji Prawniczej” przy Polskiej Akademii Umiejętności, wydanym w Krakowie w roku 1938. Gdym czytał te wilkierze, widziałem jak na barwnym filmie życie jakiegoś tam sołtysa Turkowskiego w XVII wieku, siedzącego „za stołem na przedniejszym miejscu, w słusznym a przystoynym ubiorze, to jest w sukniey albo deliey, albo w inszym tym podobnym, byle nie w gomolem: a w krótkiem to jest kozuchu albo kabacie”.

Zawarta w owym XI tomie obszerna praca Stanisława Kutrzeby i Alfonsa Mańkowskiego pod tytułem „Polskie Ustawy Wiejskie XV—XVIII wieku” przytacza w całości prawie wszystkie znane w Polsce postanowienia prawne z tej dziedziny. Określają one normy wewnętrznego życia wsi. Nazywają się wilkierzami albo ustawami wiejskimi, a nadawali je swoim wsiom panowie. Powtarzam: prawie wszystkie, lecz pozostałe, znane w roku 1938, są w pracy wymienione. Jeżeli więc nie znajduję wilkierza dla wsi dóbr cysterskich w Przemęcie, to dlatego że się taki nie zachował.

Warto jeszcze wiedzieć, że wszystkie te wilkierze, nadawane przez panów feudalnych, przez klasztory, kapituły, miasta i starostwa, mieszczą się w niewielu schematach.

Sporo roboty mieli Turkowscy przy przemęckim klasztorze, we wsiach, którymi kierowali w imieniu cystersów. Lecz za to nie potrzebowali na własnych barkach ciągnąć chłopskiego jarzma i zapewne dopiero mój pradziad Antoni, który za czasów pruskich już nie był sołtysiem i gospodarstwo miał mniejsze, dwu-

nasto- i półhektarowe, musiał osobiście uprawiać ziemię. Robił to jednak z pomocą parobka i dziewczyny służebnej. Ludzi do roboty za psi grosz było wtedy pod dostatkiem.

Sporo roboty typowo sołeckiej mieli jeszcze praprapradziad Krzysztof i prapradziad Michał, wypełniający tradycyjnie większość obowiązków, spisanych w siedemnastowiecznym wilkierzu. Ostatni wilkierz, zapewne osiemnastowieczny (bo mniej więcej zmieniały się one co wiek), na podstawie którego pełnili swe funkcje ci dwaj — różnił się co prawda od cytowanego, lecz niewiele.

Jeszcze większym przemianom uległ komplet obowiązków sołeckich po roku 1815, po Kongresie Wiedeńskim, po utworzeniu Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Dają o tym pojęcie dokumenty, których tu, niestety, nie mogę zacytować, gdyż są zbyt obszerne.

Michał Turkowski był ostatnim sołtysem, reprezentującym opata cystersów jako pana feudalnego. O tym, że został nim już wcześniej, świadczy zapis chrztu, głoszący, że w Radomierzu 25 września 1801 roku ochrzczono Stanisława, syna „Michaelis Turkoski sculteti, quem conjux eius Regina” i tak dalej. Jest więc w tym dokumencie określony jako sołtys, a ma wtedy dokładnie trzydzieści lat, co świadczy raczej o odziedzczeniu stanowiska. Potem, niestety, sołtysem pod presją Prusaków został człowiek reprezentujący znikomą mniejszość niemiecką, Ksawery Flieger. Michał umierał już na stanowisku „starszego gminy”, a wynika to z dokumentu datowanego w roku 1846:

Celem dokonania wyboru nowego starszego gminy w Radomierzu w miejsce zmarłego starszego gminy Michała Turkowskiego ustaliłem termin na dzień 21 b.m. o godz. 10 w siedzibie sołtysa w Radomierzu i zapraszam do uczestnictwa człon-

ków gminy, zastrzegając sobie, że nieobecni na wyborach przychylają się do postanowień obecnych.

Kaszczor, dnia 14 kwietnia 1846 r.

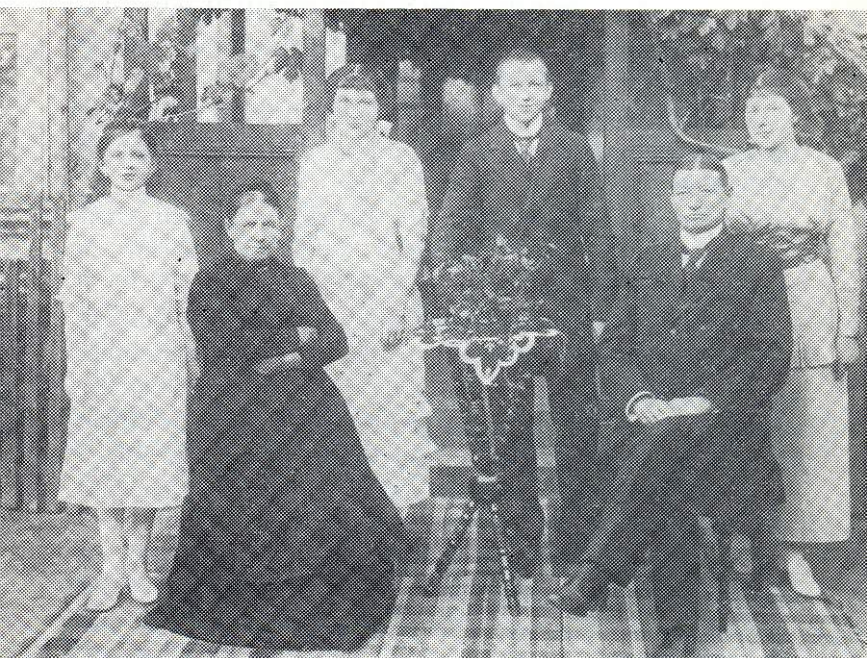
Królewski Komisarz Dystryktu

Jaką burzę wywołał wybór Niemca na stanowisko sołtysa, można wyczytać w aktach gminy Radomierz z owego czasu, zachowanych w Archiwum Państwowym w Poznaniu. Na Fliegera sypały się skargi bez końca, aż wreszcie musiano zarządzić ponowne wybory sołtysa, do których jako jeden z dwóch kandydatów stanął znowu Turkowski. Widać tradycja była silna, bo zwyciężył i został wybrany.

Mieć ziemię...

We wsi Radomierz i należącej do niej miejscowości Olejnica — położonych w Prowincji Poznańskiej, powiatu Babimost, administrowanych przez Urząd Dóbr Królewskich w Kaszczorze — znajdowały się w chwili publikacji Zarządzenia Gabinetowego z 16 maja 1819 r.:

1. jeden królewski folwark i jedno królewskie leśnictwo
2. jedna oznaczona numerem 11 posiadłość dla każdorazowego sołtysa, która obecnie znajduje się w posiadaniu Ksawerego Fliegera
7. nieruchomości obsadzone czasowo:
 - b) gospodarstwo rolne nr 14, nadane również na podstawie przywileju z dnia 15 marca 1751 r. przez wspomniany wyżej konwent klasztorny Tomaszowi Kasperowi, jego małżonce i ich spadkobiercom, które jest obecnie w posiadaniu Michała Turkowskiego;
8. 12 gospodarstw chłopskich różnej wielkości, których legitymującymi się posiadaczami przy przeprowadzaniu regulacji byli:



Stanisław i Michalina Turkowscy z przybranymi dziećmi
w Wijewie ok. 1900 r.

c) gospodarstwo nr 4 Stanisław Turkowski,
9. dom pasterski wraz z małym ogrodem, należący do gminy,
10. kuźnia wraz z obejściem, należąca do gminy.

Gospodarze rolni zobowiązani byli do dostarczania dobrom królewskim robocizny i sprzężaju, do oddawania materiałów i pieniędzy. Podobnymi obciążeniami objęci byli posiadacze gospodarstw rolnych w obrębie dóbr królewskich. W zamian za to korzystali w sposób ograniczony z lasów fiskalnych, a mianowicie z pastwisk leśnych, ściółki leśnej, chrustu i odpadów z drzew rosnących. Ponadto za prace wykonywane na rzecz dóbr królewskich otrzymywali wynagrodzenie

w postaci piwa. Chłopom, którzy posiadali domy mieszkalne i zabudowania gospodarcze, zapewniano budulec i niezbędne drewno do napraw.

W roku 1831 chłopi złożyli wniosek o nadanie im użytkowanych gruntów rolnych w oparciu o ustawę z 8 kwietnia 1823 r.

Regulacja gruntów wszczęta została z nakazu Królewskiego Rządu w Poznaniu. W wyniku jej doszło do zupełnego zniesienia poszczególnych służb chłopskich w obrębie dóbr królewskich, danin w naturze i innych, ze wszystkich posiadłości, z jednoczesnym zniesieniem praw chłopskich do korzystania z lasów królewskich. Nastąpiło oddanie chłopom na własność użytkowanych dotychczas gospodarstw, pozostających na prawach dzierżaw dziedzicznych lub na prawach czasowego posiadania...

Regulacja gruntów na terenie Radomierza doszła do skutku w sposób ugodowy. Zainteresowani więksi gospodarze rolni odstąpili na rzecz właściciela ziemskiego część gruntu ze swych gospodarstw, które zostały oddane w użytkowanie dla powiększenia mniejszych posiadłości. Zaznaczyć należy, że w wyniku regulacji stosunki między właścicielami ziemskimi a chłopami w Radomierzu i Olejnicy zostały nadal poprawne. Każdy użytkujący gospodarstwo rolne otrzymał je na własność oraz został zwolniony z tzw. serwitutów i danin w naturze...

Tak brzmi w skrócie wstępna część układu o uwłaszczeniu chłopów, zawartego między rolnikami z Radomierza i Olejnicy a rządem Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Synowie mego prapradziada Michała, którzy ze stanu szlacheckiego zeszli w stan chłopski, zostali uwłaszczeni. Był wśród nich mój pradziad Antoni.

Z wielostronicowego rękopisu, znajdującego się w

Poznańskim Archiwum Państwowym, sporządzono mi odbitkę kserograficzną, a niemiecki oryginał przełożyłem na język polski. Dowiedziałem się z tego dokumentu interesujących rzeczy. Otóż każde z trzech opisanych gospodarstw liczyło 88 morgów. Akt podaje, ile talarów renty pieniężnej każdy z uwłaszczonych musiał odprowadzać do państwowej kasy, jakie dani-ny składać kościołowi parafialnemu w Przemęcie.

Każde gospodarstwo opisane jest szczegółowo dwa razy. W ten sposób dowiedziałem się, że z 88 morgów Antoniego 60 stanowiła ziemia uprawna, 25 pastwiska i tak dalej.

Jakże cenne są informacje o położeniu gruntów. Wiem, na przykład, że połowa ziemi ornej leżała po lewej stronie od drogi do Górska, a druga między drogą do Górska a granicą ze Starkowem, część pastwisk zaś przy granicy z Błotnicą. Gdy więc za trzecim po- bytem w Radomierzu znalazłem trochę więcej czasu, poszedłem z notatkami na spacer. Łatwo odnajdywa-łem wskazane miejsca. Z radością stwierdziłem, że tam oto, wzdłuż tych wierzb, mój pradziad chodził za pługiem podcinając konie, tam znów, za szkołą, jego syn Michał wypędzał krowy na pastwisko.

Ale układ o uwłaszczeniu pozwala również wnikać w wiele spraw społecznych, którymi żyli mieszkańcy Radomierza za tamtych czasów. Reguluje on sprawy gminnego pasterza, kuźni, rowów, budowy dróg, urzą- dzenia szkoły. Nakazuje, na przykład, nauczycielowi, by na terenie szkoły sadził morwy, wtajemniczając lu- dzi w problemy hodowli jedwabników i produkcji je- dwabiu.

Są jednak sprawy, które jeszcze bliżej dotyczyły moich przodków. Czytałem, na przykład, w tekście układu:

Przy tej okazji uwłaszczeni, zrzekając się na stałe swych praw do odstąpionych albo do podziału postawionych nieruchomości, które w toku regulacji przekazane zostały na rzecz państwa, jak również innych dotychczasowych praw w stosunku do właścicieli ziemskich, o ile takie istniały, w szczególności zrzekają się praw do korzystania z państwowego opalu, wypasu pastwisk w lasach królewskich i w ogóle na dobrach królewskich, prawa do korzystania z państwowego budulca i drewna, niezbędnego do naprawy zabudowań, jak również zapomóg w razie nieszczęśliwych wypadków.

Cieszę się ze szczegółowego opisu gospodarstwa, które stanowiło majątność mego pradziadka Antoniego, ostatniego gospodarza wśród moich przodków w męskiej linii prostej. Jego syn wychodził w świat wyposażony jeszcze z tej ziemi, lecz po niewielu latach nie posiadał już nic. Jego wnuk a mój ojciec Stanisław rozpoczął życie jako chłopiec z gołymi rękami i do samej swej samobójczej śmierci nie dorobił się niczego. Był właściwie pierwszym typowym proletariuszem wśród moich przodków w linii prostej. Pierwszym, ale i ostatnim.

Co prawda rozpocząłem życie też jako typowy proletariusz, lecz nim już nie jestem, a moja bardzo skromna stopa życiowa z naddatkiem spełnia najśmielsze z dawnych marzeń moich o godziwym życiu. W dodatku posiadam symboliczny kawałek ziemi o powierzchni 250 metrów kwadratowych w postaci ogródka działkowego oraz kupione na własność trzypokojowe mieszkanie.

Cieszę się ze znajomości spraw gospodarczych mego prapradziada i pradziada, bo przecież ziemia stanowiła treść ich całego życia. Wystarczy za całe życiorisy, za całe dzieje.

Głód

Większość domów, w których Turkowscy mieszkali w ciągu ponad czterystu lat, poczynając od Turkowa, kończąc na domu mego urodzenia, nie istnieje. Czyż nie siedzę nad ich zbiorową mogiłą, biorąc się do spisywania dziejów swego rodu? Lecz mój trud jest trudem optymistycznym. Bo choć nie wskrzeszę ścian, kominów, łóżek, gospodarstw — wszystkiego, co jest tak podobne do tych drewnianych domów, które za czasów mego dzieciństwa oglądałem na Górczynie w Poznaniu — to jednak wskrzeszę ludzi, ich radości i rozpacze, gniewy i miłości, modlitwy i przekleństwa, marzenia i nadzieje, dążenia i zwątpienia. Wskrzeszę więc to, co w dziejach poszczególnych ludzi i rodów może być nieśmiertelne, jeżeli zostanie uchwycone przez tradycję lub kronikę.

Nie ma domów, w których mieszkali Turkowscy. Niektórzy nie mieli ich w ogóle. Przeżywali uczucie bezdomności, którego sam zaznałem. To uczucie, którego zaspokojenie jest tak trudne.

Czy to nie zaczęło się od mego dziada Jana Piotra, syna Antoniego, asesora i tłumacza sądowego w Międzychodzie? (Wspominając na poprzednich kartkach o zbieraniu materiałów i dokumentów, nie napisałem o podróży do Międzychodu i Sierakowa. Moje z Ireną wędrówki po miastach i po cmentarzach, działania w parafiach i urzędach stanu cywilnego, rozmowy z ludźmi przebiegały tu nie inaczej niż w Mosinie, Przemęcie, Krerowie, Poznaniu i innych miejscowościach.) Patrzę na zdjęcie tego człowieka: butna, okrągła, typowo szlagońska twarz, okolona jasnym zarostem, uwieńczona bujną czupryną. Potem biorę do ręki zdjęcie jego żony Ludwiki z domu Hysier. Piękna, filigranowa dziewczyna, o twarzy emanującej ciepłem. Jakież to

było tragiczne małżeństwo! A u źródeł ich wielkiej tragedii leżało chyba wielkie niezaspokojenie.

Moja dokumentacja na temat Jana jest najszczuplejsza, nie znalazłem nawet (wyjątkowo) dokumentu jego śmierci, choć z drugiej strony jest to pierwszy przodek z linii prostej, którego mam fotografię. Prócz niej mam tylko metrykę ślubu i metrykę urodzenia w Radomierzu. Nie wiem, kiedy i gdzie Jan umarł. Ponoć po pijanemu zamarzył na śmierć w śnieżnych zapachach. Gdzie? Szczupły przekaz słowny na ten temat przechowała Irena, ja do momentu rozpoczęcia „zabawy w sagę” może coś i słyszałem, lecz jeżeli nawet słyszałem, to zapomniałem gruntownie, tak bardzo do pewnego czasu były mi te sprawy obojętne. Ojciec nasz skrzętnie ukrywał wszystko, co dotyczyło jego ojca, bo go to zawstydzalo. Za to dość chętnie opowiadał o rodzinie matki — zacnych obywatelach sierakowskich, godnych w jego mniemaniu naszej pamięci. Tkwiło w nim przekonanie o tym, że sukces jest świadectwem moralności ludzkiej.

Irena słyszała więcej niż ja, bo była starsza, dorastała w latach, gdy dom naszych rodziców można było jeszcze zwać ogniskiem rodzinnym. Jako bliżej żyta z siostrą ojca, ciotką Marynią, wiedziała dużo od niej. Ja to i owo słyszałem od wuja Władka, brata ojca, który po wielkim kielichu nie przebierał w słowach i mówił o rodzinie swobodnie, niczego nie skrywając. Lecz w czasach, gdy miałem z nim kontakty, nic mnie to wszystko nie obchodziło.

Ciotka Marynia w czymś kramiku w Międzychodzie rozpoczęła naukę zawodu kupieckiego jako czternastoletnia dziewczynka, a potem rzuciła się na szerokie wody handlowe w Niemczech. Wreszcie jako kobieta zdolna i „fachowa” ujęła sobie kupca Otto Günthera (Niemca!), za którego w stołecznym mieście księstwa



Dziadek autora Jan Turkowski

Przyjaźnił się z nim, a on go przyjął do siebie. Iżli przekonany, że dnikie chłopom, któ-
try u pana sądzego szukali nity to porady, a wiści-
wie protekcji i potrafił zawsze jakos tak go wyko-
wać, że kończyło się na wodze.

Anhalt — w Dessau — wyszła za męża. Tak zwana przez nas *Dessau-Tante* była kobietą dumną ze zdobytej w życiu pozycji i w inny sposób niż ojciec nosiła w sobie godność osoby, wywodzącej się z niegdys znacznego rodu. Udawała, że nie pamięta rzeczy, których nie należy pamiętać, lecz nie wstydziła się ich i w chwilach rzewnych wspominków odślaniała ludziom zaufanym swe tragiczne dzieciństwo i koszmarne pożycie małżeńskie rodziców.

Jakie wykształcenie zdobył dziad Jan Piotr Turkowski? Niewątpliwie tak jak jego brat i kuzyni, których odbitki świadectw maturalnych mam w domu, ukończył gimnazjum w Lesznie lub Ostrowie. A co potem? Uzbrojony w maturę i szlacheckie pochodzenie, aplikował w którymś sądzie powiatowym. Może w jednym z tych dwóch wymienionych miast? A może w Wolsztynie lub Babimoście, bo w Zbąszyniu, gdzie urodziła się Marynia, pracował później. Moje poszukiwania w tej dziedzinie przyniosły nikłe efekty. Sądzę w każdym razie, że do sądu w dalekim Międzychodzie trafił już z pełnymi kwalifikacjami, podchodząc pod trzydziestkę. Ożenił się przecież dopiero tam, ukończywszy trzydzieści jeden lat.

Lubił wódkę jak wszyscy jego potomkowie płci męskiej. Bronił się z pewnością przed okazjami, bo wiedział, jak zaczyna się każdorazowe picie. Ot, właśnie przeprowadził się z rynkowej kamieniczki krawca do gospodarza, mającego obszerny dom na końcu uliczki, która za cmentarzem stawała się dalej zwykłą drogą wiejską. Był przekonany, że łatwiej wymknie się tam przyjaciołom, z którymi często prosto z sądu trafiał do knajpy. Był przekonany, że umknie chłopom, którzy u pana sędziego szukali niby to porady, a właściwie protekcji i potrafili zawsze jakoś tak go wykołować, że kończyło się na wódce.



Ciotka autora Marynia z Turkowskich Günther

Hyp-
wersje
kierów i wreszcie to, ku czemu Ludwiką doprowadziła
sama w swej upartej ślepotcie: niezaszczyć, rozpacz,
ponieważ i bieda. A potem książka powróciła do ro-
dziców z nową dzielną. Szóstym matki, wstąpiła

Był przekonany, że w chłopskiej chacie za miastem łatwiej znajdzie namiastkę rodzinnego domu. Ale ani gospodarz nie zastąpił mu zmarłego przed rokiem ojca, ani gospodyni zmarłej przed czterema laty matki, ani wreszcie dom ich nie miał tego ciepła, bez którego — na co napatrzył się w sądzie — ludzie mordują bliźnich, kradną cudze mienie, biją się nawzajem cepami, gwałcą dziewczęta. Wiedział, że sam skłonny jest do tego wszystkiego, niczemu się więc nie dziwił. Nawet córka gospodarzy ze swoją zakochaną miną nie przypominała mu niczego z radomierskiego szczęścia i obojętnie patrzył na jej ładną buzię. A przecież do Radomia nie mógł wrócić na stałe, bo co by tam robił, odwykł od pracy na roli. Zresztą w domu panoszyli się szwagrowie, a młodszy brat — dobry, kochany Staś — też był w świecie, akurat w Paradyżu składał maturę w seminarium nauczycielskim. A siostry? Może wypędziłyby go kijem, bo słuchy o jego hulaszczym trybie życia rozchodziły się po świecie.

W pewnym momencie Janowi zdawało się, że znalazł coś, co uratuje go przed niechybną katastrofą: małżeństwo, dzieci, własny dom. Trzeba było jednak stoczyć walkę o śliczną dziewiętnastoletnią Ludwikę, córkę nauczyciela Karola Hysiera. Zasiedziali mieszczanie nie chcieli wydać jej za przybłędę, włóczykija.

Dziewczyna spazmowała, groziła samobójstwem, uciekała z domu. Była zakochana do szaleństwa. Trwało to całe miesiące, nim wreszcie nadeszła pora niechętnych ustępstw rodziców przed groźbą utopienia się w jeziorze. Na koniec skromne zaręczyny i ślub, po nim zaś wesele — huczne jednak, bo musiało być godne Hysierów. I wreszcie to, ku czemu Ludwika doprowadziła sama w swej upartej ślepcie: nieszczęście, rozpacz, poniewierka i bieda. A potem klęska powrotu do rodziców z czwórką dzieci. Złośliwość matki, urażona



Babka autora Ludwika Turkowska z Hyszerów

duma ojca i chleb właściwie zebraczy, choć od swoich. I ciężka choroba.

Nieraz wspominała po latach krótkie szczęście swoje, miotając się w rozpacz. Smutne było jej życie, odludne. Wiele nacierpiawszy się, unikała ludzi, przestała nawet wychodzić z domu. Miała nigdy nie kończącą się gorączkę i żyła w stanie półprzytomnym, jakby w koszmarnym śnie. Gdy skończyła trzydzieści trzy lata, wiedziała, że wkrótce umrze, może nawet za parę dni. Całe jej życie to dziewiętnaście lat radosnych pod skrzydłami rodziców w domowym raju i czternaście lat katorgi po związaniu się z tym strasznym człowiekiem, którego wybrała sobie wbrew całemu światu. Nie wiedziała, gdzie jest Jan, ale było jej to absolutnie obojętne. Dawno już przeniósł się do innego miasta. Pan sędzia sam wreszcie omal nie siedział w więzieniu za jakieś matactwa. Na koniec znalazł się w Zbąszyniu.

Co będzie z dziećmi? — myślała ustawicznie. Cóż mogła uczynić, by je ratować? Najstarszy Staś był mądrym chłopcem i wiele rozumiał. Choć jeszcze nie ukończył szkoły i nie miał czternastu lat, już chadzał do warsztatu fryzjerskiego, bo w przyszłości chciał się nauczyć tego fachu. Młodszy Włodek jeszcze mały, tylko psoty mu w głowie. Czesiek jeszcze mniejszy, miły, dobry, może trochę zbyt nieśmiały. I Marynia — cała pociecha. Nie ma jeszcze dziewięciu lat, ale nim rano do szkoły wyjdzie, puści w ruch całe gospodarstwo domowe.

Myśl o dzieciach rozjaśniała Ludwice mroki życia. Przywoływała na pamięć miłe chwile z pierwszych dni po ślubie. Janek nie pił przez jakiś czas. Gdy się budził rano, brał ją na ręce jak lalkę i niósł do kuchni. Palił w piecu, robił tyle innych rzeczy, żeby jej było łatwiej. Gdy wracał po południu, potrafił wyręczyć



Ciotka autora Klara Turkowska, żona Władysława

ją w niejednym. Wieczorem, położywszy się obok niej, gładził ją czule.

Kiedy i jak ten krótki okres miodowy zmienił się w piekło? Nie pamięta tego. Może sama była winna? Może nie powinna wtedy dąsać się i gniewać. Bo to z pewnością od jej dąsów rozpoczynały się kłótnie i wybuchy, po których pił od nowa z jakąś zaciętością.

Szła wtedy za nim rok po roku, dzień po dniu, jak w jarzmie. Szła za nim, bo się z nim ugodziła do tej wspólnej drogi, ślubowała przed ołtarzem.

Zmarła samotnie, otoczona dziećmi, choć porzucona przez ich ojca.

Nic dziwnego, że jej potomstwo nie lubiło wspominać o tamtych czasach. Jej córka a moja ciotka Marynia ze zgrozą wspominała ponoć jeden moment. Matka już nie żyła, a ona, właściwie dziecko jeszcze, terminowała w sierakowskim sklepiku. I oto pewnego dnia przyjechał ojciec. Wywołał ją na ulicę, zamienił parę słów, zionął wódką. W końcu poprosił o parę marek na pociąg. Wiedziała, że prędzej te marki przepije, niż kupi bilet, lecz wysuwała z chusteczki swe dziecięce oszczędności...

Zrozumiała wtedy wiele. Zrozumiała, że w hierarchii społecznej spadła najniżej, jak tylko można spaść. Wiedziała o swym szlacheckim pochodzeniu ze strony ojca. Jej stryjowie wciąż jeszcze należeli do góry społecznej, inaczej toczyło się ich życie. Emigracja stryjów do miast — a właściwie tylko do szkół, bo z nich najczęściej wracali na wieś w innych nieco rolach — to dla nich znaczyło podejmowanie się zawodów inteligentkich. Nie tak było z sąsiadami, którzy przechodzili do zajęć robotniczych, co najwyżej rzemieślniczych. Do pracy fizycznej Turkowscy zbyt długo z pewnością potrzebowali parobków.

Piętno szlachecczyzny osłabiało ich gospodarczo. W pewnej chwili, w połowie XIX wieku, gdy gospodarstwa zostały już podzielone w stopniu ostatecznym, nie było komu pracować. Kobiety razem z ziemią wychodziły więc za chłopów, żeby tę ziemię miał kto uprawiać. Same zapewne dużo wzdychały, stroniły od rolniczych zajęć i po staremu próbowały rozkazywać. A ich bracia czuli się nadal panami w sutannach lub nauczycielskich surdutach. Komu się nie powiodło, zajmował się handlem, jak choćby ten w Błotnicy, którego nazwisko tak uparcie widnieje na ścianie domu opodal stacji kolejowej.

No tak, ale Marynia i jej bracia Stasiek, Czesio, Władek upadli tak nisko, że właściwie nie było dla nich ratunku.

Stanisław i Magdalena

Mój ojciec Stanisław nosił z pewnością podobne sceny w swej pamięci. Nie wątpię w to, że chciał być lepszym ojcem niż ten, którego wcześniej stracił. Toteż przywoływał na pamięć smutny czas swej dziecięcej bezdomności, gdy po wielu latach jego własne dzieci przedwcześnie zaczęły się wymykać z domu w Poznaniu.

Wspominał swą naukę fryzjerstwa, a także i to, jak Marynia uczyła się w małym składziku z „towarami krótkimi”. Miała czternaście lat. Byli wtedy wszyscy bez domu. Władek w Międzychodzie kończył naukę krawiectwa, Czesława wuj w Wijewa posłał na naukę do Leszna. Wszyscy byli bez domu, bez mamy, bo mama nie żyła. I bez ojca, bo buszował on po świecie.

I oto ojciec przyjechał i wziął od Maryni pieniądze na wódkę.

Wspominał te chwile zwłaszcza po długich czterdziestu latach, które go tak bardzo doświadczyły. Po owych czterdziestu latach pozostał prawie samotny, opuszczony.

Do jego osamotnienia i ja się przyczyniłem, lecz nie odczuwam wyrzutów sumienia, ale żal do ojca. Z pewnością trudno mu wtedy było tak samotnie prowadzić tramwajarski żywot. Żona mu umarła, ta żona, z którą przez cały czas kłócił się, a często i bił. A dzieci?

Irena dawno poszła w świat, a przecież nie musiała iść, miała wtedy jeszcze ojca i matkę. Stefan wędrował po świecie, uciekał z domu od najwcześniejszych swoich lat, czasem sprowadzała go do domu policja. Teraz ożenił się gdzieś na drugim końcu Polski, ale już zostawił żonę i fruwa po Ameryce. Longina wyszła z domu, jak trzeba — za mężem i to za jakim mężem! Dlaczego poszedł sobie Leonard, jeżeli siedzi w Poznaniu i błąka się z jednego umeblowanego pokoju do drugiego, a czasem ucieka, nie mając czym zapłacić? Tylko Janka została, może dlatego że bezradna, że ze swoim nieślubnym chłopakiem nie miałyby się gdzie podziać.

Dlaczego wszyscy uciekali? Chciał przecież zawsze dobrze. Jeżeli kłócił się z żoną, to o dobro swego domu. Zawsze wszystkiego było mało, a chciał, żeby było dużo. Miał więc nie krzyżeć, gdy nie dojedzone szło na śmietnik? Miał nie bić, gdy które stłukło szklankę albo podarło portki o gwóźdź? A że potem bił już na zapas za to, że szklanka stała na brzegu stołu albo zmoczone buty w kącie? Przecież też o to samo chodziło, żeby żyć lepiej, zaoszczędzić na czarną godzinę, żeby dom był coraz prawdziwszy, coraz do-



Ojciec autora Stanisław Turkowski

statniejszy. A oni dlaczego uciekali? Miał potem nie bić za uciekanie, gdy przychodził policjant i wstyd był na całą dzielnicę? Miał nie bić, jak przestawali się uczyć? A teraz Leonard śmie powiedzieć, że nie mógł się uczyć w takim piekle? Któż miał piekło, jeżeli nie on sam właśnie za dziesiątki lat harowy, za swe starania, za uporczywe budowanie tego domu, który miał być szczęśliwy, w którym wszystkie izby miały być zawsze jasne jak kościół.

Przeniósł się z fryzjerstwa na tramwaje, gdy udało mu się zamieszkać u wdowy przy ulicy Strzałowej, która potem została jego teściową. Przedtem, po przybyciu do Poznania, mieszkał przy ulicy Fortecznej, która teraz już od dawien dawna nazywa się Jeżycką. Mieszkał tam krótko i pracował u fryzjerskiego majstra Grabowskiego, który miał w Sierakowie krewnych. Sytuacja zmieniła się, gdy wyszło na jaw, że Grabowski ledwie co miał sam robić w swojej balwierni.

W nowym domu przy Strzałowej wdowa Skorupska mieszkała w tylnej oficynie z oknami na podwórze i chętnie przyjęła lokatora, bo nie bardzo miała z czego żyć. Nikt zresztą nie był pewien, czy rzeczywiście była wdową. Miała przy sobie dwie córki, które niewiele wiedziały o ojcu i dziadkach. Z ich opowiadań wynikało, że małżeństwo ich matki jota w jotę przypominało małżeństwo Ludwiki Hyspierzówny.

Żył w Wydzierzewicach w średzkim powiecie bogaty chłop Józef Waligóra, ożeniony z posażną panną Marianną Król. Dorobiło się to małżeństwo kilkorga dzieci, a wśród nich czterech córek. Dwie poszły do Poznania za rzeźników, którzy pobudowali sobie po kilka kamienic: jedna za Fischera, druga za Kosickiego. Trzecia znalazła męża bliżej, w Swarzędzu. Łucja zakochała się na śmierć i życie w parobku swoich ro-

dziców, Wojtku Skorupskim. Nic nie pomogło wybijanie miłości z głowy.

Jak to się stało, że się jednak pobrali? Sądząc z daty urodzenia pierwszego dziecka, ślub odbył się w roku 1877, gdy zakochana miała już dwadzieścia osiem lat, to znaczy gdy zaczęło ciążyć na niej piętno staropanieństwa. W ciągu kolejnych sześciu lat Łucja Skorupska urodziła Wojtkowi sześcioro dzieci, ale Wojtek chciał być panem a nie parobkiem. Argumenty zaczęły przybierać z pewnością kształt kłonicy i wideł, jak to na wsi. Wreszcie nieudany zięć machnął na wszystko ręką i poszedł szukać szczęścia gdzie indziej, na szerokim świecie.

Łucja wypłakiwała oczy przez kilkanaście lat. Wreszcie najstarszy jej syn Marcin poszedł w świat śladem ojca, po nim Tomasz, na końcu Józef. Poszedł i czwarty, którego imienia nie znam. Wtedy matka z córkami Magdaleną (moją matką) i Katarzyną, zebrawszy w tobolek swoje manatki i trochę talarów ze spłaty gospodarstwa rodzicielskiego, przeniosły się do Poznania.

Na ten moment trafił Stanisław Turkowski. Mieszkanie w przejściowej ciupce w podwórzu na parterze nie było wygodne, za to położone w dobrym punkcie miasta. Po raz pierwszy młody człowiek poczuł się w wielkim mieście. Dyrekcja Poznańskiej Kolei Elektrycznej werbowała właśnie ludzi do obsługi rozwijającej się sieci tramwajów Siemens. To była praca, nie jakies tam czekanie na nie ogolone brody. Posada prawie jak państwowa, pensja regularnie płatna, a jeżeli nawet niezbyt wysoka, to goleniem i stryżeniem zawsze można dorobić w gronie znajomych.

Córki Łucji Skorupskiej były ładne. Magda, o rok starsza od Katarzyny, wydawała się stateczniejsza. W niedalekim pensjonacie dla panienek posługiwała w

kuchni i prosto z pracy wracała do matki. Czasem nawet przynosiła coś do zjedzenia, bo w pensjonacie należało się jej wyżywienie. Gdy Stanisław pełnił służbę od rana, siadywał wieczorem z matką i z córkami w ciemnej kuchni, żeby nie wypalać nafty. Matka trzymała dziewczęta krótko, ale on ujął je statecznością i rozważą, więc pozwalała mu czasem wyjść z Magdą na spacer. Szli na Fogelkę za Bramą Dębińską, potem do ogrodu San Domingo na tańce. Mówił tak obiecująco:

— Pobierzemy się, jak tylko odłożę trochę grosza i będę mógł urządzić mieszkanie w jakiejś nowej kamienicy. Teraz dużo budują. *Kaiser* chce, żeby Poznań był wielkim miastem. Będziemy mieli piękny dom i mądre, dobre dzieci. W naszym domu będzie jasno jak w kościele. Wynajmę mieszkanie nie w podwórzu, tylko frontowe, przy szerokiej ulicy, szerszej niż Strzałowa i to na trzecim, najwyższym piętrze, żeby nam nic nie zasłaniało słońca.

Zrobił potem wszystko dokładnie tak, jak powiedział, lecz pomimo to nie miał domu.

Wpierw jednak 1 kwietnia 1904 roku zmarła Łucja Skorupska. Pochowali ją na świętomarcińskim cmentarzu. Dziewczęta płakały długo, teraz nie miały ani ojca, ani matki. Magdalena sama zaczęła przypominać o ślubie. Katarzyna też miała kawalera, przystojnego kelnera Pieprzyckiego.

Stanisław ożenił się z Magdaleną dopiero po dwóch latach. Przeżyła przez ten czas dużo bólu i wstydu. Gdy urodziła pierwszą córeczkę, Stanisław jeszcze zbierał talary na swój jasny dom. Była już drugi raz w ciąży, a on wciąż miał czas. Wtedy pokazała mu drzwi. I to go skłoniło do refleksji. Było już po Wielkanocy, świat zieleńił się, gdy prowadził ją do kościoła Bożego



Matka autora Magdalena Turkowska z domu Skorupska

Ciała. Urodziła mu w domu przy ulicy Strzałowej jeszcze dwie córki.

Wydawało się, że życie będzie piękne i to złudzenie wzrosło, gdy pewnego dnia zaprowadził ją na Łazarz, do nowej dzielnicy, której główna ulica Głogowska była prawie tak szeroka jak Plac Wilhelma.

Nie był to jeszcze ten dom, na który on czekał. Mieszkanie znajdowało się w podwórzu. Urodziła mu tutaj pierwszego syna.

Ale znowu innego pięknego dnia powiedział, że jest wreszcie dom, na który czekał. Odetchnęła z ulgą i poszła z nim, zostawiwszy dzieci pod opieką sąsiadki.

Było to bardzo blisko. Pokazał jej nowy dom, trzy-piętrowy, w którym jeszcze nikt nie mieszkał. Poprowadził ją na trzecie piętro. Na wprost z sieni kuchnia z wodą i zlewem. Gaz do gotowania i oświetlenia. Tak, teraz to było to. O takim mieszkaniu zawsze marzyła. Trudno było uwierzyć, że staje się rzeczywistością. W takim mieszkaniu musiało gościć szczęście, którego dotychczas właściwie nie znała z człowiekiem w tramwajarskim mundurze, nadal jej obcym.

Do pierwszego, mniejszego pokoju wchodziło się i z kuchni, i osobnym wejściem z sieni. Dalej przechodziło się do drugiego, większego o dwóch oknach. Mieszkanie było rzeczywiście jasne, z oświetleniem gazowym. Z okien rozpościerał się widok na szeroką ulicę Głogowską, po której jeździły tramwaje, a zaraz na wprost rozciągała się daleka perspektywa ulicy Spokojnej. Wokoło budowano dalsze domy.

Magdalena rzuciła się mężowi w ramiona i po raz pierwszy w życiu spontanicznie ucałowała go i uściłowała. Pierwszy i ostatni raz, bo nigdy go nie kochała. Od początku do końca szła za nim jak wół w jarzmie, bez najsłabszego choćby uczucia więzi. Był dla niej zawsze obcym człowiekiem. Poszła za nim, bo tak się

w życiu ułożyło. Brał ją zawsze, nigdy mu się nie oddawała. Gdyby nie Boże prawo, któremu chciała i musiała być posłuszna, biłaby go zawsze po twarzy, tak jak tego wieczoru, krótko po śmierci matki.

I dlatego była zawsze taka czujna, gdy chodziło o jej dzieci. Pilnowała córek, by nie padły — jak ona sama — ofiarami dokonanych faktów. Jakżeż późno przekonała się, że upilnowanie ich jest jednak niemożliwością.

Irena poszła z domu i nie potrzebowała pieczy. Longina też potrafiła ustrzec się sama, chociaż kawalero- wie nie dawali jej nigdy spokoju, bo była zbyt ładna. Janka, niestety, urodziła nieślubnego syna i to napełniło Magdę rozpaczą, bo była pewna, że Bóg karze ją za jej własne grzechy. Wiem o tym dobrze, że ich nie popełniła, bo nie była do tego zdolna.

Wtedy — po porodzie Janki — stała się czujna nawet wobec mnie. Gdy związałem się z Zosią K., doszło do scen tragicznych. Lecz o nich później.

Chłopski los

Gdy wspomynam rodzinę Hypsiorów, rodzinę mej babki, nieszczęsnej żony Piotra Jana, przychodzi mi na myśl, jak bardzo fortuna kołem się toczy nie tylko w życiu jednostki, lecz także w życiu pokoleń. Jak złudną i nietrwałą rzeczą jest zamożność.

Wersja nazwiska Hybsior występuje w najstarszych dokumentach, później zjawia się Hypsior. Urzędnicy niemieccy próbowali wywieść to nazwisko od przyprzymiotnika *hübsch* — piękny i raz czy drugi udało im się w zapisach metrykalnych utrwalić zniemczoną odmianę Hübscher. Zapewne wskutek protestów ro-

dziny nastąpiła dalsza zmiana, będąca jednak spolszczeniem wersji niemieckiej, a brzmi Hypszer. I ta ostatnia wersja przetrwała do moich czasów.

Nie tylko Ludwika Hypszerówna-Turkowska popadła w biedę, choć jej rodzice, jeszcze gdy umierała, należeli do sierakowskiej góry społecznej. Ten niegdyś niezłe sytuowany ród mieszczański stracił swój blask.

Ja osobiście znałem już tylko zubożałych Hypszerów. Podobnie zresztą jak Turkowskich i Skorupskich (nazwisko rodowe mej matki). Znaczy to, że podobny los dotknął różne rodziny z kręgu moich przodków.

Brat mej matki Józef Skorupski po wyzwoleniu Polski spod zaborów, wróciwszy ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej z niezłym kapitalikiem, tak długo zastanawiał się, gdzie ulokować swoje oszczędności aż połowę przejadł, przepił i przegrał w karty, a resztę stracił w czasie dewaluacji.

Władysław Turkowski, „Krawioszek”, brat mego ojca, miał przez pewien czas szczęście w życiu, choć rozpoczął karierę krawiecką jako bezdomny sierota. Ukończył nawet jakąś akademię kroju w Berlinie, lecz prawdopodobnie świadomość szlacheckiego pochodzenia sprawiła, że wolał chleb łatwiejszy od szycia. W pewnym momencie był właścicielem ładnego warsztatu i wygodnego mieszkania. Gdy to stracił, ktoś z rodziny jego żony zafundował mu sklep. Lecz zamiast pomnażać dobra, ten człowiek konsumował je. Chodził potem opuszczony. Żył, czym się dało, czasem coś zahandlował, czasem wygrał w karty. Dzieci wyrosły już „na ludzi”, lecz on cierpiał niedolę aż do momentu swej tragicznej śmierci.

Obaj ci ludzie rozpoczęli życie w biedzie i dlatego, dochrapawszy się lepiej okraszonego kawałka chleba, jedli go łakomie, jakby się bali, że go stracą. Och, jakżeż dobrze ich rozumiem. Gdy sam w okresie mię-

dzywojennym zarobiłem coś pisaniem, lubiłem przeu-
lać wszystko w wesołym towarzystwie.

Lecz dlaczego ubodzy byli Hypszerowie, kuzynowie
ojca? Romana Hypszera poznałem w roku 1928, w
czasie prosperity przedkryzysowej, której szczególną
odmianę przeżywał Poznań, w związku z przygotowy-
waną na rok 1929 Powszechną Wystawą Krajową, im-
prezą o zasięgu i znaczeniu międzynarodowym. Przygo-
towanie „Pewuki” pociągnęło za sobą ożywiony ruch
budowlany, zmieniający duży kawał miasta w ogromne
tereny targowe. W Poznaniu nie starczało wtedy
fachowców z dziedziny budownictwa, więc ściągano ich
z całej Wielkopolski i nie tylko z niej. Rzemieślnicy
przyjeżdżali do roboty chętnie, bo napięte i ściśle okre-
szone terminy sprzyjały wysokim zarobkom akordow-
ym.

Na tej fali przybył do Poznania tęgi, rumiany cie-
śla z Sierakowa, uosobienie sielskości, typowy „sor”
albo „sorek” — jak nazywaliśmy ludzi nie obytych
z miejskim fasonem. Przyszedł niespodziewanie do na-
szego mieszkania w szewiotowym ubraniu, z dREW-
nianą skrzynką pod pachą i siekierą. Nocował i żywił
się przez krótki czas, potem rodzice pomogli mu zna-
leźć kąt za pieniądze, lecz nie przestał nas odwiedzać.
Dorabiał się stopniowo. Wpierw przestał łamać papie-
rosy na pół i rozcinać kozikiem zapalki, potem grywał
w karty z ojcem, Krawioszkiem i sąsiadem Czarnec-
kim, jeszcze później przynosił czasem ćwiartkę wódki.

Kontakty pozostały i po jego powrocie do Sierako-
wa. Być może, w rewanżu za uzyskaną od rodziców
pomoc zaprosił mnie do Sierakowa na wakacje. Ponie-
waż jednak podczas „Pewuki” pracowałem, więc od-
wiedziłem Hypszarów dopiero latem 1930 roku, dy-
sponując i czasem, i promocją na drugi kurs semina-
rium nauczycielskiego, bo pierwszy rok repetowałem.

Posiadałem sporo umiejętności jak gra na skrzypcach, pisanie wierszy, mówienie po francusku (wyniesione ze szkoły wydziałowej, takiej pośredniej, pozostałej z XIX wieku, szkoły na bardzo wysokim poziomie).

Po raz pierwszy poznałem wtedy małe miasteczko, pełne uroków, z ślicznym rynkiem i niewielu uliczkami, z jedyną latarnią naftową pośrodku. Po raz pierwszy zamieszkałem w niemal wiejskim domu, w biednym, jednoizbowym mieszkaniu, w którym ta jedyna izba była kuchnią, pokojem, sienią, spiżarnią, wszystkim. Proste, prymitywne w niej były sprzęty.

Ale wuj Roman i jego żona byli ludźmi niezmiernie serdecznymi i wspaniałymi w swej prostocie. Może ten miesiąc w ich domu zdecydował na całe życie o moim ciepłym stosunku do małych miasteczek? Żyło się u tych Hyszserów skromniutko, skromniej jeszcze niż w domu, a tak jakoś miło i dobrze. Jadało się proste zupy, placki z kartofli i inne niewymyślne potrawy, które szalenie mi smakowały. Tak, to dlatego marzyłem zawsze o życiu w takich najmniejszych miasteczkach i gdy się tylko dało, marzenia te wcielałem w czyn.

Na życzenie wuja zabrałem z sobą skrzypce i grywałem na nich najnowsze szlagiery. Wtedy — we wstępnej fazie rozwoju radia — wszystkie szlagiery wydawano jako czterostronicowe ulotki, zawierające tekst i nuty na jeden głos, przeznaczone na skrzypce lub mandolinę. Kupowałem je sobie w księgarni.

A więc w Sierakowie grałem i śpiewałem, a głos miałem wtedy ładny. Pamiętam, był w tym okresie modny „Księżyc nad Tahiti”. Tego też roku ukazało się słynne, potępione wkrótce przez kościół, tango „Nasza jest noc”, którego bluźnierczy tekst budził we mnie dreszcze, a którego w miarę pobożni wujostwo nie wzbraniali mi śpiewać.

W ogóle Roman Hyszser i jego ładna, młoda żona

potrafili wyzwalać we mnie to, co najlepsze. A że byłem już wtedy poetą, którego utwory publikowano w szkolnym pisemku „Życie radosne” — sprawili i to, że opisałem wierszem całą swą podróż do Sierakowa i pierwsze dni pobytu u nich. Poemat wykaligrafowałem na arkusikach rysunkowego papieru, bogato go zdobiąc kolorowymi kredkami. Przepisałem to w dwóch egzemplarzach. Ileż bym dziś dał za jeden z tych dwóch egzemplarzy!

Znalazła się w owym poemacie i pierwsza moja, a właściwie przedpierwsza miłość, bo co to była za miłość! Darzyłem sympatią, zupełnie koleżeńską, lecz ciepłą, dwie dziewczynki, absolwentki siódmej klasy, z którymi poznała mnie ciotka. Jedna pochodziła z domu takiego jak Hypszerów, druga była natomiast córką kupiecką. Chodziliśmy we troje nad jezioro, wtedy jeszcze ciche, a dziś okrzyczane, cel najazdu tłumu wczasowiczów. Jako człowiek z dużego miasta, uczeń szkoły średniej, na dobitek grający, śpiewający i piszący artysta, byłem dla dziewczątek chłopcem bardzo atrakcyjnym. Muszę się jednak pochwalić, że większą sympatią darzyłem tę biedniejszą dzierlatkę, co potem z dumą wspominałem przez długie lata. Co prawda ta biedniejsza była urodziwsza. Mego uwielbienia dla niej nie mogło podważyć nawet to, że druga szła na spacerzy zawsze z pełną torebką cukierków.

Lecz miałem napisać tu raczej o drugim Hypszerze, bracie Romana, mieszkającym w niedaleko od Sierakowa położonej, wtedy też cichutkiej, a dziś głośniejszej wsi letniskowej, Chrzypsku Wielkim.

Nie pamiętam imienia tego wuja. Zjawił się raz u Romanostwa, mniej postawny, nawet drobny, a przy tym jakiś jakby fircykowaty. Byłem też pewnie raz i u niego na wsi. Ale lepsza okazja nadarzyła się w następnym roku.

Uczęszczałem jeszcze do seminarium, a był to ostatni rok mojej w nim nauki, gdy w maju wybraliśmy się na klasową wycieczkę do Szamotuł. Jest to ładne miasteczko powiatowe, obfitujące w zabytki, wśród których wyróżnia się baszta legendarnej Halszki z Ostroga.

Na zwiedzaniu i baraszkowaniu zszedł nam cały dzień. Zapowiedziałem rodzicom, że ponieważ następny dzień miał być wolny od nauki, przeto nie wrócę na noc. Szamotuły leżą bowiem przy drodze kolejowej do... Sierakowa. Odległość między tymi miastami wynosi czterdzieści kilometrów, lecz Chrzypsko leży jakieś dziesięć kilometrów bliżej. Tę drogę postanowiłem przebyć pieszo torami kolejowymi w ciągu nocy. Do marszów byłem dobrze wdrożony.

Pożegnawszy się z odjeżdżającymi do Poznania kolegami, zjadłem na plantach kolację, zabraną w tym celu z domu rodzicielskiego, a następnie z lekkim sercem i ciałem ruszyłem przed zmrokiem w drogę. Był to przepiękny spacer. Przyzwyczajony od najwcześniejszego dzieciństwa do dalekich pieszych wycieczek, nie odczuwałem trudów marszu i rozkoszowałem się krajobrazem, wchłaniając pełną piersią świeże, wonne powietrze majowej nocy. Co prawda dopiero po kilku kilometrach noc zapadła na dobre. Ale była bogata w przeżycia. Nie raz przesywały mnie dreszcze, gdy księżyc rzucił jakiś tajemniczy cień lub puchacz zawołał w gęstwinie drzew. Wtedy jeszcze — w odróżnieniu od lat późniejszych — bardziej lękałem się zjawisk metafizycznych niż ludzi lub zwierząt. Zbyt wiele w tamtych czasach opowiadano o duchach, czarach, zjawach, zmorach. Te lęki i niepokoje dodawały jednak tylko uroku mej podróży.

Szedłem długo nie spiesząc się, by zbyt wczesnym rankiem nie dotrzeć do krewnych. Gwiazdzista, księż-

życowa noc sprzyjała mi. Gdy później księżyc zaszedł, temperatura moich emocji wzrosła. Teraz już każdy cień i szelest wróżył coś tajemniczego, niezziemskiego. Potrafiłem jednak panować nad strachem.

Wkrótce zaczęło powoli świtać. Noc rzedła. A gdy tuż przed wschodem słońca dzień stanął nad polami chłodną ciszą, dobrnąłem właśnie do miejsca, gdzie winienem zgodnie z drogowskazem zejść z toru kolejowego. Chrzypsko Wielkie leżało bowiem w niewielkim od niego oddaleniu.

W pogodny, słoneczny ranek dopytywałem się o chałupę Hypszera. Wieś leżała przede mną płaska, rozrzucona, obfitująca chyba bardziej w łąki niż w uprawne pola. Przez jej środek wił się strumyk, a dalej rozciągało się jezioro.

Mała chatka Hypszera była murowana, bez żadnego ogrodzenia. Z jednej strony znajdował się ogródek warzywny, z drugiej schodziło się prosto na łąkę.

Zastałem w domu fircykowatego czy raczej zawa-
diackiego wuja i jego żonę z dzieckiem na ręku. Ucieszyli się bardzo moim przybyciem. Poczęstowali mnie polewką i naprędce od kogoś pożyczonym kawałkiem suchego chleba, bo sami nie mieli ani chleba, ani smarówidła. Mój „wuja” był malarzem, bardziej z praktyki niż z zawodu, bo takiego prawdopodobnie wcale nie miał i trochę pozował raczej na artystę niż na rzemieślnika. Czy dlatego był mi tak życzliwy? Jedyny pokój mieszkalny miał ściany ozdobione jakimiś pretensjonalnymi, ręcznie wykonanymi wzorkami o krzyczących kolorach. Kazano mi podziwiać to samorodne dzieło. Ale — jak się wkrótce dowiedziałem — malarz nie miał pracy, choć gotów był wynajmować się do jakichkolwiek robót i budowlanych, i rolniczych. Nadszedł już czas kryzysu i zastoju, czas bezrobocia i głodu. Dawno minęły dobre czasy przed „Pewuką”.

Podobał mi się ten „wuj”. Miał naturę pogodną i filozoficzny stosunek do życia, także do swej nędzy. Przede wszystkim pomyślał o świątecznym obiedzie na moją cześć, na który to obiad nie było w domu dosłownie nic. Porozumiał się wzrokiem z żoną, wziął wędkę na długim kijku i zaproponował mi, bym poszedł razem z nim na łowiecką wyprawę.

Skierowaliśmy się ku strumykowi. Siedzieliśmy na brzegu, a on, rozmawiając ze mną, zarzucał wędkę do płytkiej wody, niczego nawet nie zakładając na haczyk. Miałem trochę doświadczenia w łowieniu ryb na Warcie, na Wełnie pod Obornikami, na podpoznańskich jeziorach, więc mówiłem:

— Tak się przecież niczego nie złapie.

Ale on tylko uśmiechał się tajemniczo, wstawał po jakimś czasie i szedł dalej. A ja za nim. I znów na nowym miejscu po staremu zarzucał wędkę.

Wreszcie po kilku takich przeprowadzkach zobaczyliśmy na wodzie stado kaczek, które oczywiście odpływało, uciekając przed nami, rozciągało się jednak w długi korowód. I wtedy nagle Hyszer odwrócił wędzisko i jego końcem zdzielił w łeb ostatnią kaczkę w szeregu, a następnie zagroził jej drogę. Biedny ptak tkwił w wodzie nieprzytomny, ogłuszony, ze zwisającą głową. W tym momencie jednocześnie rozejrzeliśmy się dookoła. Nie było widać nikogo, więc mój wuj podwinął portki, wszedł do wody, wziął ogłuszoną kaczkę, coś tam jeszcze zrobił z jej łebkiem, wsadził zdobycz za pazuchę i powiedział krótko:

— Chodź.

Oprawiwszy w domu ptaka przy kuchennym piecu, w którym wszystko, co niejadalne, zostało spalone, oddał go żonie i zapowiedział, że wychodzimy na spacer, lecz około południa wrócimy na obiad.

Włóczyliśmy się potem po wsi, po polach i łąkach,

nad jeziorem. Przysiadaliśmy w słońcu, wygrzewaliśmy swe ciała, paliliśmy skręty z machorki. Pokazywał mi ręką okazalsze domy i z nienawiścią mówił o ich właścicielach. Zatrzymywał się przed biedniejszymi chatami i z ich mieszkańcami wymieniał przyjazne powitania. Przed jedną z takich chat przycupnęliśmy na pieńkach obok starego, siwego, trzęsącego się dziada, który pykał fajkę, dokładając do niej suszonych liści wiśniowych. Z tych liści i my skręciliśmy sobie papierosy.

Dziadka nie trzeba było długo namawiać do opowiadania. Poruszał bezzębnymi szczękami, jakby jakiś ogromny owad otwierał i zamykał paszczkę. Z jego ust wydobywał się chrapliwy głos.

Mówił o swym dzieciństwie na wsi, jakby jeszcze pańszczyźnianej. Miał osiemdziesiąt lat. Mógłbym być jego wnukiem. Dziś potrafię sobie wyliczyć, że mój pradziad Antoni był uwłaszczonym chłopem w sile wieku, gdy ten się rodził. Ale przecież uwłaszczeniu podlegały jedynie większe, sprzężajne gospodarstwa. Większość ludności wiejskiej stanowili wynędzniali chłopci małorolni lub bezrolni, żyjący na łaskawym chlebie obszarników lub wiejskich bogaczy.

Ten starzec był jednym z takich. Jego opowiadanie przyprawiało mnie o dreszcze, choć znałem życie i natrzyłem się biedy. W Poznaniu na terenach powystawowych gnieździł się bezrobotni i bezdomni nędzarze. Oglądałem to na własne oczy.

Po sutym obiedzie siedliśmy z wujem w owym, na kościelną modłę wymalowanym, pokoju i gawędziliśmy o życiu wsi. W pewnym momencie wój powiedział:

— Masz być poetą, toś powinien znać życie zwyczajnych ludzi.

— Przecież sam jestem zwyczajnym człowiekiem — zaśmiałem się.

— No tak, ale takiej nędzy nie znalazłeś.

— Toteż właśnie chętnie ją poznaję — odrzekłem.

— Artysta powinien widzieć takie rzeczy — ciągnął. — Ja też jestem artystą, ale się marnuję. Tyś nie powinien się marnować. Zobacz, ten obraz to ja malowałem.

Dopiero teraz przypatrzyłem się dokładnie olejnemu pejzażowi, wiszącemu na jednej ze ścian. Przedstawiał prawdopodobnie ten sam strumyk, na którym odbyło się nasze polowanie. Dokoła łąka, brzozy i wierzby, chaty w perspektywie. Nawet mi się to podobało, więc oceniłem szczerze:

— Ładne.

Hypszter przyjrzał mi się badawczo.